ANNA ŚWIDERKÓWNA

MODLITWA

Tajemnica spotkania człowieka z Bogiem

ANNA ŚWIDERKÓWNA

MODLITWA

Tajemnica spotkania człowieka z Bogiem

WYDAWNICTWO m
Kraków

Wybór i opracowanie tekstu:
Sylwia Haberka
Projekt okładki:
Radosław Krawczyk

© Copyright by Hanna Trippenbach-Dulska, Kazimierz Dulski
© Copyright by Wydawnictwo M, Kraków 2019

ISBN 978-83-8043-132-4

Wydawnictwo M
31-002 Kraków, ul. Kanonicza 11
tel. 12-431-25-50; fax 12-431-25-75
e-mail: biuro@wydawnictwom.pl
www.wydawnictwom.pl

Dział handlowy: tel. 12-431-25-78; fax 12-431-25-75
e-mail: handel@wydawnictwom.pl

Księgarnia wysyłkowa: tel. 12-259-00-03; 721-521-521
e-mail: bok@klubpdp.pl
www.klubpdp.pl

Konwersja
Epubeum

Spis treści

Zgłębianie oceanu

- Choćbyś miał Arkę Przymierza
- Czy mamy bać się Boga?
- Bóg osobowy
- Radość Trójjedynego
- Emmanuel

Miłość Boża i miłość ludzka

- Zazdrosna miłość Boga
- Patroni modlitwy wstawienniczej
- Oni chcą modlić się z nami

Trwać w Jego obecności

- Gdy nie ma czasu na modlitwę...
- Stać przed obliczem Boga
- Mądrość i głupota
- Nieustanna gotowość
- Na co czekamy?

Pustynia i krzyż

- Po co się modlić?
- Pustynia

Jesteśmy na Golgocie
„Niech weźmie swój krzyż”
Ryzyko służby
Bóg, którego spotykam

O modlitwie „niewysłuchanej”
W ogrodzie oliwnym
„Nie mają wina…”
Szczenięta pod stołem…
Zamknięte drzwi

„Proście, a będzie wam dane”
Święta „bezczelność”
Czy można ukraść cud?
Królestwo Boże
„Nie bój się, wierz tylko”
Być żebrakiem

Ubodzy i cisi
Gadatliwi jak poganie
Wyjść na sykomorę
Błogosławieni ubodzy w duchu
Pokora Zacheusza
Błogosławieni cisi

Modlitwa Pismem Świętym
Lectio Divina
Biblijne inspiracje w Godzinkach
Słowo, którego nie znamy

Zgłębianie oceanu

Choćbyś miał Arkę Przymierza

Przykazanie nieczynienia podobizn miało ułatwić zachowanie wierności wobec Jahwe w czasach, kiedy Izraelici byli zalani wokół światem pogańskim. Ale w moim pojęciu to przykazanie nadal jest dla nas ważne, tylko w innym sensie. Każdy z nas ma bowiem tendencję do tworzenia sobie swojego własnego „wizerunku" Boga. Oczywiście nie wyobrażamy sobie Boga jako starszego pana z siwą brodą, niemniej jednak chcemy, żeby Pan Bóg zachowywał się tak, jak nam się wydaje, że byłoby dobrze – żeby Bóg nas słuchał, a nie my Jego. I pod tym względem nie wyrzucałabym tego przykazania, choć w naszych katechizmach już go nie ma, żeby nie wprowadzać zamieszania. Bo tu nie chodzi o to, żebyśmy nie przedstawiali zwiastowania Matki Bożej czy wizerunków świętych. Oczywiście czasem zdarza się (sama zaobserwowałam), że ktoś wchodząc do kościoła, nie uklęknie

przed Najświętszym Sakramentem, tylko odwraca się tyłem, żeby się znaleźć przed obrazem świętego Ekspedyta... Ale to jest kwestia kształcenia ludzi. Natomiast najważniejszy sens tego przykazania w czasach biblijnych to: Nie oddawajcie czci innym bogom. Natomiast dla nas najważniejsze jest: Nie róbcie sobie Boga na własny użytek.

Cała rzecz polega na tym, że my zazwyczaj nie uświadamiamy sobie wcale, że tak łatwo dajemy się pochłonąć naszym własnym sprawom, naszym własnym planom. Zupełnie źle się robi wtedy, kiedy te sprawy nasze i plany nasze utożsamiamy ze sprawami Bożymi i planami Bożymi. I wtedy chcemy Bogu służyć, ale istnieje niebezpieczeństwo, że On sam stanie się w naszym rozumieniu mniej ważny niż służba Jemu. A taka służba niepostrzeżenie może przemienić się w służbę naszemu własnemu „ja".

W Starym Testamencie znajduje się opowiadanie, w którym Izraelici przegrali bitwę z Filistynami, mimo że mieli ze sobą Arkę Przymierza (zob. 1 Sm 4). Arkę, która była symbolem obecności Bożej. Wzięli ją z Szilo, sprowadzili do obozu, a jednak Bóg im nie sprzyjał. W innych czasach (kiedy Arka jako tron Boga niewidzialnego przebywała w Świątyni) prorok Jeremiasz, który znał sposób myślenia swoich współrodaków, powie: *Nie ufajcie słowom kłamliwym, głoszącym: „Świątynia Pańska, świątynia Pańska, świątynia Pańska!"* (Jr 7,4). Zdawali się myśleć: „Jeżeli my mamy Świątynię Jahwe, to znaczy, że możemy zrobić wszystko, co nam się podoba, bo Bóg jest z nami". Ostatecznie Arka Przymierza to wyraz tego, że my chcemy, żeby Bóg był z nami. Ale jest takie polskie powiedzenie, brzydkie zresztą – „modli się pod figurą, a diabła ma za skórą". To znaczy: nie wystarczy, że ktoś z nas

chodzi do kościoła, jeżeli Boga nie wprowadza do własnego życia. I wydaje mi się, że w tym opowiadaniu chodzi właśnie o to. Sama Arka nic nie pomoże, jeżeli Ty się nie zmienisz. I tu jest właśnie niebezpieczeństwo takiej zewnętrznej pobożności: Kościół wymaga, żebym ja w niedzielę chodziła do kościoła, to ja chodzę w niedzielę do kościoła. Ale co z tego wynika dalej? Czy tylko tyle, że idę do kościoła i nic więcej? Jeżeli Ty nie będziesz Panu Bogu rzeczywiście służyć, to nic Ci nie pomoże nawet to, że masz ze sobą Arkę Przymierza. Nie pomoże Ci, że chodzisz do Komunii, jeżeli tego daru, który otrzymujesz, nie będziesz przekazywać swoim bliźnim.

Ludzie niewierzący, tacy, którzy odeszli od wiary, często odchodzą z naszej winy. Bo ateiści – tacy „prawdziwi" ateiści – czują, że jeżeli Bóg jest, to życie człowieka, który wierzy (wie!), że Bóg jest, *musi* wyglądać inaczej. Miałam koleżankę, młodszą ode mnie zresztą, która była wtedy ateistką i członkiem partii komunistycznej. I kiedyś powiedziałam jej, że jadę do benedyktynek do Żarnowca na śluby wieczyste mojej kuzynki. Jej reakcja mnie zaskoczyła. Bo ona tak spontanicznie mi powiedziała: „A to, to ja rozumiem!". No właśnie. Rozumiem, że jeżeli ktoś wierzy, to jest gotów... Niekoniecznie iść do klasztoru, ale – dążyć do tego, żeby robić to, co się Bogu podoba i żeby być z Bogiem na co dzień.

Czy mamy bać się Boga?

Czy mamy „bać się" Boga? Problem polega na tym, że w języku polskim mamy po prostu za mało słów. Mamy słowo „bać się"

i mamy słowo „lękać się”, a „lękać się” jest jeszcze gorsze niż „bać”. Już lepiej jest z rzeczownikami, bo rzeczownik mamy jeszcze jeden – „bojaźń”. To nie jest strach, to nie jest lęk. Powiem na przykładzie stosunku do człowieka: jeśli trafimy na prywatną audiencję u Ojca Świętego, to też będziemy odczuwać pewną bojaźń.

Jak więc można zrozumieć, co to jest ta bojaźń Boża? Co to jest to „banie się” Boga? Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w jakimś pokoju, a za ścianą coś się dzieje. I teraz przychodzi do nas ktoś, komu wierzymy, i mówi nam: „Słuchajcie, tam jest tygrys, który uciekł z ogrodu zoologicznego i za chwilę może tu wpaść”. No, będziemy się bać. Zwyczajny strach. Będziemy myśleli, jak uciec. A teraz wyobraźmy sobie, że ten sam godny zaufania człowiek (tutaj to zaufanie do niego będzie trudniejsze) przyjdzie i powie nam: „Słuchajcie, tam w sąsiednim pokoju jest jakiś straszny upiór, który za chwilę przyjdzie nas zamordować, albo nie wiadomo, co z nami zrobi…”. Będziemy się bać – jeśli w to uwierzymy – choć inaczej. Bo my się inaczej lękamy widm czy duchów (jeżeli się w ogóle ich lękamy), a inaczej boimy się tygrysa. A jeśli teraz ten ktoś powie nam: „Zaraz przyjdzie do was jakiś bardzo wielki, bardzo wspaniały, bardzo potężny, ale bardzo dobry duch, który przychodzi, żeby was wzbogacić, żeby was pocieszyć…”. To już będzie zupełnie inny lęk, ale też się będziemy bać.

Tutaj chciałam dać jeszcze jeden obraz: pogodne niebo nocne w lecie. To jest coś, co wywołuje właśnie takie uczucie bojaźni. I to nawet u ludzi niewierzących. Mówi się o Bogu „strasznym” – choć lepiej brzmi tutaj „straszliwy”. Bojaźń Boża to nie tylko obawa przed zrobieniem Bogu przykrości, przed jakimś urażeniem Go…

Tak, to na pewno, ale jest tu jeszcze coś innego, o czym my często zapominamy: że jednak On jest tym Całkiem Innym. Gdyby Pan Bóg chciał nam powiedzieć o sobie tylko to, co my możemy zrozumieć, toby w ogóle nie mógł nic powiedzieć. Prawdę najlepiej wyraził święty Augustyn: jeżeli mówimy o Bogu i Ty rozumiesz, to to jeszcze nie jest Bóg. Po prostu jeżeli wejdziemy chociaż parę kroków w tajemnicę Boga, to my tego zrozumieć nie możemy. W Starym Testamencie, pod koniec 33 rozdziału Księgi Wyjścia, jest taki fragment, gdzie Mojżesz chce zobaczyć chwałę Boga. A Bóg mu mówi – nie możesz zobaczyć Mojej chwały, bobyś nie przeżył.

To się zmieniło, kiedy Bóg stał się człowiekiem. On właśnie dlatego przyszedł w swoim Synu. Fizycznie też nie oglądaliśmy wtedy Boga – fizycznie widzieliśmy człowieka – jednak Chrystus jako Bóg-człowiek jest dla nas mostem do Bożej tajemnicy. Nie na darmo Jezus jako Pontifex (pontifex to z łaciny dosłownie „budowniczy mostów") jest tym, który nas wprowadza w tajemnicę samego Boga, w tajemnicę wewnętrznego życia Boga. Bo dopiero On – stawszy się człowiekiem – umożliwia nam to spotkanie.

Bóg osobowy

Miałam takiego przyjaciela – księdza, który mieszkał w domu dla starych księży naprzeciwko ogrodu zoologicznego, na Ratuszowej. Kiedy do niego przychodziłam, wylewałam mu na głowę moje pretensje do różnych księży, a on ich zawsze bronił. Pewnego razu (wtedy nie wiedziałam, że widzimy się po raz ostatni)

zaatakowałam go za to, że księża nigdy nie mówią o Trójcy Świętej. Bo ja rzeczywiście – do momentu, kiedy to powiedziałam – nie słyszałam księdza mówiącego o Trójcy Świętej; nie twierdzę, że żaden nie mówił, ale tak się złożyło, że tego nie słyszałam. I on bronił księży, mówił, że to niemożliwe, ale kiedy już wychodziłam, zatrzymał mnie niejako na progu i poprosił – napisz mi homilię o Trójcy Świętej. I to mnie zmusiło w pewnym sensie do zastanowienia...

Można by zapytać: Trójca Święta, no dobrze, ale co to ma wspólnego z modlitwą? Tutaj chciałam opowiedzieć taką historyjkę, którą jeden z teologów francuskich, Philippe Ferlay (który z upodobaniem pisze właśnie o Trójcy Świętej) zaczął swoją książeczkę *Père et Fils dans l'Esprit* („Ojciec i Syn w Duchu"). Podejrzewam mocno, że to jego własne przeżycie, chociaż on opowiada to w trzeciej osobie. Otóż kiedyś w seminarium duchownym uczony teolog wygłaszał bardzo piękny, bardzo misternie zbudowany wykład o Trójcy Świętej, żonglując takimi terminami (bardzo trudnymi do zrozumienia) jak *circumincesio* i *perichoresis*. I po tym wykładzie jeden z młodych słuchaczy podszedł do niego i powiedział: „Proszę księdza profesora, to był wspaniały, niesłychanie mądry wykład. Ale czy mógłby nam ksiądz powiedzieć, jaki to ma związek z duszpasterstwem? Jak to może nam pomóc w duszpasterstwie? I czy to może posłużyć w modlitwie?". Na to ten uczony wzruszył ramionami i powiedział: „To nie ma z tym nic wspólnego".

I tu jest ten wielki błąd wielu teologów (i to wielkich teologów) chrześcijańskich – oddzielili bowiem tajemnicę Trójcy od tajemnicy Wcielonego Słowa. A nie ma innej drogi. Nie na darmo Jezus mówi

o sobie: *Ja jestem drogą i prawdą, i życiem* (J 14,6) . Nie ma innej drogi do wejścia w tajemnicę Ojca i Syna i Ducha Świętego niż Chrystus. Nie na darmo mówi On: *jestem drogą*. Nie mówi „jestem przewodnikiem waszym na drodze", tylko *jestem drogą*.

Zostawiając tę tajemnicę Bożą tylko teologom i filozofom, zapominamy, co mówi Jezus. Jezus, który sławi Ojca właśnie za to, że zakrył swą prawdę przed mądrymi i roztropnymi, a objawił ją ludziom przypominającym małe dzieci – prostym i nieuczonym (zob. Mt 11,25; Łk 10,21). I to jest rzecz bardzo niebezpieczna: gdy stajemy wobec tajemnicy Boga Trójjedynego i mówimy, że nic nie rozumiemy, więc nie będziemy się tym zajmować. Ale czy wobec tego jesteśmy jeszcze w stu procentach chrześcijanami? To jest przecież tajemnica, która jest w samym centrum chrześcijaństwa i która wyróżnia chrześcijaństwo spośród tych trzech wielkich religii monoteistycznych. To jest to, co różni teologię chrześcijańską od teologii islamu czy judaizmu. Otóż podstawową tajemnicą chrześcijaństwa jest właśnie tajemnica Boga Trójjedynego. Teolog protestancki Karl Barth pisał kiedyś w ten sposób: „Trójca jest tajemnicą piękna naszego Boga. Jeśli jej zaprzeczymy, mamy zaraz Boga bez blasku, bez radości (i bez poczucia humoru), Boga pozbawionego piękna".

No tak, ale ktoś mógłby powiedzieć – dobrze, ale to jest tajemnica całkowicie niepojęta. Jest niepojęta, bo Bóg jest niepojęty. Poznawanie Go przypomina zgłębianie oceanu. Oceanu się nigdy nie zgłębi. Ale zgłębianie oceanu ma swój sens. I jest bardzo ciekawe. Jest jeszcze jedno porównanie, które mi się tutaj nasuwa. Często przychodzą ludzie, którzy twierdzą, że chcieliby uwierzyć, ale najpierw chcieliby zostać przekonani, chcieliby, żebyśmy im to

udowodnili. Tak jakby ktoś przyszedł na basen, poszedł do trenera i powiedział: „Proszę pana, ja tak bardzo chcę się nauczyć pływać, ale nie wejdę do wody, póki mnie pan nie nauczy pływać".

Ludziom, którzy są dalecy od chrześcijaństwa (czy po prostu dlatego, że nie są chrześcijanami, czy dlatego, że utracili wiarę) wydaje się czasem, że mówienie o Bogu osobowym jest jakąś antropomorfizacją. W rzeczywiści wielu ludziom jest łatwiej przyjąć jakąś bezosobową siłę – uznać że „coś" jest. Ateizm jest w gruncie rzeczy bardzo niepewny siebie i najczęściej w końcu dochodzi do takiego obrazu Boga bezosobowego. Ale ludzie, którzy w ten sposób rozumują, nie zdają sobie sprawy, że ściągają Boga poniżej poziomu człowieka! Bo jeżeli to jest nie „ktoś", tylko „coś", to taki Bóg byłby czymś niższym od człowieka. A trzeba Go szukać nieskończenie wyżej... Ojciec, Syn i Duch Święty nie są Osobami na sposób ludzki, ale można by powiedzieć, że to jest jakby nadosobowość Boga.

Radość Trójjedynego

Możemy się zgodzić z tym, że Bóg jest czymś przekraczającym nasze możliwości pojmowania. Nawet może łatwiej z tym się zgodzą niewierzący niż wierzący. Jest jednak jedna rzecz bardzo istotna, o której wielu gorliwych katolików nie wie. W Piśmie Świętym nie ma takiego imienia jak Trójca Święta. Bóg ma wiele różnych imion, zwłaszcza w Starym Testamencie, a i w Nowym też. Ale nie ma mowy o Trójcy. To termin teologiczny – mówię o samym słowie – określający właściwy chrześcijanom monoteizm. W Ewangelii Jezus nie każe swoim uczniom udzielać chrztu w imię

Trójcy Świętej, lecz w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. To jest koniec Ewangelii według świętego Mateusza: *idźcie i nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego* (Mt 28,19). Zwracam jednak uwagę na jedną rzecz – *w imię!* W jedno imię. Otóż cała rzecz polega na tym, że autorzy Nowego Testamentu, mówiąc o Bogu, nigdy nie liczą. Dla niech jedyną Bożą liczbą jest jeden. Jeden Bóg, jeden Pan, jeden Duch. Nie ma nigdzie dodawania ani żadnych innych działań arytmetycznych. A kiedy Pismo Święte mówi jeden o Bogu, warto się zastanowić, co znaczy to jeden. To nie jest ani pierwsza z serii liczb, ani w ogóle liczba. Lecz właśnie zaprzeczenie liczb. Innymi słowy „jeden" znaczy tu tyle co „jedyny", a nie można dodawać do siebie trzech Jedynych.

W tak zwanym symbolu świętego Atanazego (Atanazy nie był jego autorem; żył w IV wieku, a ten symbol powstał w wieku V) są takie słowa: „Nieskończony Ojciec, nieskończony Syn, nieskończony Duch Święty. Wiekuisty jest Ojciec, wiekuisty jest Syn, wiekuisty jest Duch Święty. Nie trzej jednak wiekuiści, ani nie trzej nieskończeni, lecz jeden Wiekuisty i jeden Nieskończony". Jak pierwszy raz to przeczytałam, myśląc co czytam, to przyznam, że mnie to jakoś uderzyło... To było przeżycie bardzo żywe (podejrzewam, że Państwo będziecie mieli to samo uczucie). I teraz dalej: „Podobnie wszechmocny jest Ojciec, wszechmocny jest Syn, wszechmocny Duch Święty. Nie trzej jednak wszechmocni, lecz jeden Wszechmocny". I to dziwne uczucie przechodzi nam wtedy, kiedy dochodzimy do zakończenia tej partii: „Podobnie Bogiem jest Ojciec, Bogiem jest Syn, Bogiem jest Duch Święty. Ale nie trzej bogowie, ale jeden Bóg".

Otóż, nikt z nas nie ma wątpliwości, że Bóg jest jeden, ale nawykliśmy liczyć Osoby, zapominając, że Bóg jest poza wszelkimi kategoriami. Także poza kategorią liczby. Wracając do homilii o Trójcy, którą miałam przygotować... Nigdy tej homilii nie napisałam, bo kiedy już byłam gotowa do jej napisania, mój przyjaciel umarł. Ale rozmyślając o tej homilii, zrozumiałam, że jest pewna trudność, którą nam nasuwa sama formuła dogmatu (z IV wieku) – to znaczy, że w Bogu są trzy Osoby. Dziś my to tak odbieramy, jakbym powiedziała, że w pokoju są trzy osoby. Osoba w dogmacie nie oznacza tego co w naszym świecie. To nie znaczy człowiek. Bo u nas to jest znak równości: osoba to człowiek. Autorzy tej formuły, wypracowywanej przez trzysta lat ciągłych dyskusji, zderzeń, nawet walk, chcieli podkreślić, że w jedności Boga jest niezaprzeczalna odrębność Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Ojciec nie jest ani Synem, ani Duchem, Syn nie jest ani Ojcem, ani Duchem, a Duch nie jest ani Ojcem, ani Synem. I warto sobie uświadomić, że Trójca Święta to nie jest matematyczna zagadka, w jaki sposób trzy może równać się jeden. To jest tajemnica radości Boga, który (ja to skądś wzięłam, ale nie wiem skąd) jest jeden, a nie jest samotny.

Emmanuel

Ponieważ formuła dogmatu o Trójcy wyrosła ze słowa Bożego, to głębsze wniknięcie w to słowo pomoże nam zrozumieć lepiej – nie mówię do końca, ale lepiej – także formułę dogmatu. Stańmy wśród uczniów Jezusa wnet po zesłaniu Ducha Świętego i spróbujmy wraz z nimi – w świetle Zmartwychwstania, jak

również i tego, co Bóg wcześniej objawił Izraelowi – odczytać na nowo sens śmierci, życia i nauki naszego Mistrza. Sens całej historii Boga z nami.

Bóg z nami to jest Emmanuel. I to też jest rzecz bardzo ważna i bardzo charakterystyczna: że Ewangelia według świętego Matusza zaczyna się od tego profetycznego imienia. Na samym początku, w pierwszym rozdziale, anioł uspokaja we śnie Józefa, że nie potrzebuje się lękać przyjęcia Maryi. Mimo że to Dziecko poczęte w jej łonie rzeczywiście jest z Ducha Świętego, on może je przyjąć. Mało tego – musi Mu nadać imię Jezus, czyli musi Je uznać za swoje własne. Zaraz potem jest komentarz Ewangelisty, który przytacza tutaj wyrocznię Izajasza, z siódmego rozdziału jego księgi – z tym, że przytacza ją według greckiego przekładu Septuaginty. Ten przekład powstał w III wieku przed Chrystusem w Aleksandrii. To bardzo dziwne, ale tam jest powiedziane dosłownie, że *oto panna (dziewica) pocznie i porodzi Syna, i nazwie Go imieniem Emmanuel* (Iz 7,14) – Emanuel to znaczy „Bóg z nami" („Z nami Bóg" dosłownie, bo El znaczy Bóg). A na końcu Ewangelii Mateusza (Mt 28,20) Jezus mówi do swoich uczniów: *A oto Ja jestem z wami po wszystkie dni, aż po spełnienie się wieków* (bo w oryginale greckim jest dosłownie: „po spełnienie się wieków", a nie „aż do skończenia się świata").

Otóż wtedy, kiedy zstąpił Duch Święty na Apostołów, nie było żadnego Nowego Testamentu (on się dopiero później miał tworzyć), a w Biblii hebrajskiej (Starym Testamencie) nie znajdziemy nigdzie wyraźnego objawienia Trójcy. Bóg jest po prostu za dobrym Pedagogiem i najpierw uczył przez całe długie wieki swój naród wybrany, że jest On Bogiem jedynym, że nie ma

innego. Bez takiego przygotowania objawienie wewnętrznej tajemnicy życia Bożego doprowadziłoby łatwo do oddawania kultu trzem Bogom. A jeżeli już trzem, to dlaczego nie trzydziestu? Zwłaszcza że ten mały światek Izraelitów był otoczony morzem ludzi, którzy czcili najróżniejszych licznych bogów.

My dzisiaj szukamy przynajmniej jakiejś zapowiedzi Trójcy Świętej w Starym Testamencie. Rzeczywiście są takie momenty, choć my najczęściej szukamy tej zapowiedzi tam, gdzie jej nie ma. Na przykład, nie należy dopatrywać się Jej – mimo pięknych ikon – w trzech gościach odwiedzających Abrahama w Mamre (zob. Rdz 18). Nie wskazuje też na tę tajemnicę fakt, że gdy Bóg stwarza człowieka, przemawia nagle w liczbie mnogiej – *Uczyńmy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam* (Rdz 1,26). To jest prawdopodobnie *pluralis deliberationis*, czyli liczba mnoga zastanowienia się. Ja rozumiem to bardzo dobrze, bo mieszkam sama i jeżeli przede mną stanie jakiś trudny problem, to zdarza mi się usiąść i powiedzieć sobie: „no, zastanówmy się, co ja mam zrobić". To jest właśnie to. Natomiast bardzo blisko tego 26 wersetu jest następny werset: *Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył ich mężczyzną i niewiastą*. Mężczyzną i niewiastą na obraz i podobieństwo Boga. Czyli człowiek jest stworzony komplementarnie. To znaczy, my jesteśmy tak stworzeni – kobieta i mężczyzna – że się wzajemnie uzupełniamy i że w ten sposób odnajdujemy naprawdę siebie. I to dotyczy nie tylko małżeństwa. To dotyczy po prostu zwyczajnego życia. Nie na darmo jest tyle takich par świętych, gdzie w ogóle nie wchodziło w grę małżeństwo, jak na przykład święty Franciszek

i święta Klara, Wielka Teresa i Jan od Krzyża i tak dalej. Otóż człowiek jest stworzony do wspólnoty. I to szczególnej wspólnoty.

Miłość Boża i miłość ludzka

Zazdrosna miłość Boga

W Starym Testamencie mamy pojęcie Boga „zazdrosnego” (zob. np. Wj 43,14; Pwt 4,34). Co to znaczy Bóg zazdrosny? Przecież to znaczy, że Bóg chce nas dla siebie! Że to jest wyłączność miłości! Trudno to wszystko wyjaśnić, ale przecież także w miłości mężczyzny i kobiety, oprócz tej złej chorobliwej zazdrości, może istnieć właśnie taka „normalna” zazdrość, która jest czymś bardzo dobrym. Dlatego że temu drugiemu na mnie zależy.

Pewien ksiądz poprosił mnie, żebym kiedyś pojawiła się w jego parafii i powiedziała ludziom: „Co Bóg o nich myśli”. Ludzie często boją się Boga. Nie wiedzą, że jest samą Miłością. I tutaj nie ma w gruncie rzeczy żadnej różnicy między Starym i Nowym Testamentem. Jeśli ktoś ma wątpliwości, niech przeczyta drugi rozdział Księgi Ozeasza. Ozeasz, jeden z najstarszych proroków,

których księgi się zachowały, żył w połowie VIII wieku przed Chrystusem. To był właśnie ten prorok, któremu Bóg kazał poślubić kobietę uprawiającą nierząd. Prawdopodobnie był to nierząd sakralny, a więc była to jednocześnie zdrada samego Boga. Ale Ozeasz kochał tę swoją żonę, wierzył, że potrafi ją „uleczyć" swoją miłością i potem ten obraz miłości do niej przeniósł na przymierze, które Bóg zawarł z Izraelem.

W drugim rozdziale Księgi Ozeasza Bóg mówi do Izraela jak do „niewiernej małżonki", która porzuciła Go i pobiegła za swoimi „kochankami", czyli bogami pogańskimi. Ponieważ uważała, że otrzyma od nich chleb, wodę, len, oliwę (Oz 2,7) i wszystko, czego potrzebuje, Bóg postanowił, że zagrodzi jej drogę: *Dlatego zamknę jej drogę cierniami i murem otoczę, tak że nie znajdzie swych ścieżek. Za kochankami swymi pobiegnie, ale ich nie dogoni; pocznie ich szukać, ale nie znajdzie. Wtedy powie: „Pójdę i wrócę do mego męża pierwszego, bo wówczas lepiej mi było niż teraz* (Oz 2,8-9). Gdy znowu stanie się głodna, powie: „Wrócę do mojego pierwszego męża, bo tam mi było lepiej". Właściwie to samo mówi syn marnotrawny w przypowieści Jezusa! „Wrócę do Ojca, bo tam nawet najemnicy mają lepiej, niż ja mam tutaj". Ten syn i ta oblubienica „zdradliwa" wracają do Ojca i Męża z powodów zupełnie przyziemnych – nie z wielkiej miłości, tylko po to, żeby im było lepiej. Ale gdy Bóg doprowadza swoją oblubienicę do sytuacji, w której ona uzna, że Go potrzebuje, mówi o niej – uwiodę ją i powiodę na pustynię, i będę mówił do jej serca (por. Oz 2,16). A potem na nowo obiecuje jej dary – ślubne dary – jak miłość, wierność i sprawiedliwość. *I poślubię cię sobie [znowu] na wieki, poślubię przez sprawiedliwość i prawo, przez miłość i miłosierdzie.*

Poślubię cię sobie przez wierność, a poznasz Pana (Oz 2,21-22). Gdy przeczytamy to uważnie, zobaczymy, że Bóg Starego Testamentu to ten sam Bóg, o którym nam mówi Jezus.

W tej miłości do Boga i w miłości z Bogiem mieści się również miłość do ludzi. Kiedyś, dawno temu, bardzo długo rozmawiałam z pewnym panem, który przedstawił mi się jako marksista i człowiek zupełnie niewierzący. Miałam wtedy taką tendencję, że każdego chciałam nawracać, ale ta jedna rozmowa – bardzo przyjemna zresztą – była zupełnie wyjątkowa. Było to w górach, siedzieliśmy na Klimczoku, ja byłam bardzo młoda, on trochę ode mnie starszy, więc byliśmy oboje w takim wieku, że mógłby się do tej rozmowy dostać jakiś inny element... Ale nie – ten dialog był całkowicie o sprawach Bożych. Mój rozmówca zastanawiał się tylko, dlaczego żaden z jego przyjaciół chrześcijan nigdy nie powiedział mu nic podobnego i co jakiś czas powtarzał: „Jakby to było piękne, gdyby to było prawdziwe!". W czasie tej rozmowy padło tylko jedno jedyne pytanie, które trącało o sprawy między mężczyzną a kobietą. To było pytanie, czy w moim życiu jest miejsce na taką miłość bardziej ludzką. Ja powiedziałam: jak najbardziej. Ale ta miłość ludzka musi być – a przynajmniej powinna być – zamknięta w miłości Bożej. Dlaczego? Dlatego, że miłość zawsze chce pełnić wolę tego, kogo kocha. A to jest czasem niebezpieczne w miłości ludzkiej: ten, kogo kocham, może chcieć albo czegoś złego dla mnie, albo dla siebie, albo dla kogoś trzeciego. Dlatego takim zabezpieczeniem tej miłości ludzkiej jest miłość Boża.

Bóg nigdy nie jest Bogiem „zazdrosnym" w tym sensie, że nie mogę kochać męża (jeżelibym miała męża) czy dzieci, czy mojej

matki. Wręcz przeciwnie. Ta miłość do drugich prowadzi mnie do Niego. Na ogół jest nam łatwiej albo kochać ludzi, albo kochać Boga. Ja należałam do tej drugiej grupy (może dlatego, że byłam zbyt wielką egoistką?). Ale z czasem zrozumiałam, że nie ma dwóch miłości – jest tylko jedna miłość. To jest właśnie ta wyłączność, której chce Bóg: kocham innych i przez tych innych idę do Niego. I naprawdę jestem dla Niego i z Nim. I On chce mnie uszczęśliwić. On chce być moim szczęściem.

Patroni modlitwy wstawienniczej

Jedna ze słuchaczek zadała pytanie o modlitwę wstawienniczą: „Na czym tak naprawdę ta modlitwa polega? Przecież nie chodzi o przekonywanie Pana Boga, żeby okazał się dla kogoś życzliwy, bo Pan Bóg kocha każdego nieskończenie bardziej, niż ktokolwiek może kochać. A więc jak to rozumieć?". Tu jest jedna rzecz: Bóg tak stworzył świat, że nasz udział w zbawieniu jest konieczny. Bóg włącza naszą modlitwę w swoje rządy. To nie jest tak, że Bóg z góry przewiduje, że będę się modlić, bo dla Boga nie ma żadnego „z góry", dla niego jest zawsze jedno teraz, ale jak to powiedział pewien stary mnich: „Bóg zrobi wszystko, ale nie zrobi tego beze mnie". Tak jak w Kanie Galilejskiej – ja muszę coś zrobić – muszę tę wodę nanosić, żeby ta woda mogła być. Ja jej nie przemienię w wino. Ale On może.

I wydaje mi się, że to, co jest bardzo ważne w modlitwie wstawienniczej, to właśnie ten nasz udział. Nie chodzi o to, że my musimy Panu Bogu cokolwiek przypominać. I niekoniecznie dostaniemy dokładnie to, o co prosiliśmy. Jeśli matka modli się za

swoją córkę, żeby dobrze jej poszło na studiach albo żeby wyszła dobrze za mąż, a coś z tego nie wyjdzie, to wcale nie znaczy, że jej modlitwa za córkę nie została wysłuchana. Bo Bóg nas często wysłuchuje w sposób, którego my nie potrafimy nawet zrozumieć.

Dla mnie taki niesłychanie ciekawy tekst to scena, kiedy do domu, gdzie przebywa Jezus, przynoszą paralityka: *Zebrało się tyle ludzi, że nawet przed drzwiami nie było miejsca, a On głosił im naukę. Wtem przyszli do Niego z paralitykiem, którego niosło czterech. Nie mogąc z powodu tłumu przynieść go do Niego, odkryli dach nad miejscem, gdzie Jezus się znajdował, i przez otwór spuścili łoże, na którym leżał paralityk. Jezus, widząc ich wiarę, rzekł do paralityka: „Synu, odpuszczają ci się twoje grzechy”* (Mk 2,2-5). Czterech przyjaciół przynosi go na łożu (to znaczy czymś w rodzaju noszy), ale nie mogą wejść przez drzwi z powodu tłumu. Wobec tego wychodzą na dach (dachy palestyńskie są płaskie, zrobione z gliny pomieszanej z trzcinami) i psują go – kopią dziurę w tym dachu (w lecie dach służy właściwie tylko jako osłona od słońca, a taką dziurę łatwo naprawić), i spuszczają tego nieszczęśnika na noszach pod nogi Jezusa. A Jezus, widząc *ich* wiarę, mówi do paralityka: *synu odpuszczone są twoje grzechy*. To jest charakterystyczne: widząc *ich* wiarę (a nie jego wiarę), On odpuszcza grzechy i potem uzdrawia tego paralityka. Gest tych ludzi, którzy nie tylko go przynieśli, ale wdrapali się na ten dach i zrobili w nim dziurę, to jest właśnie modlitwa. Oni są patronami naszej modlitwy wstawienniczej.

Oni chcą modlić się z nami

My powtarzamy w Credo „wierzę w świętych obcowanie”. Co to znaczy? Kto to są święci? Przecież tu nie chodzi tylko o świętych kanonizowanych. Pierwsi święci czczeni byli bez żadnej kanonizacji. Kanonizacja to nie jest powiedzenie, że ten człowiek jest święty, a inny nie jest. Kanonizuje się pewne wzory dla nas. Takim klasycznym przykładem jest Mała Teresa od Dzieciątka Jezus. Jej kanonizacja oznaczała, że ta jej droga dziecięctwa duchowego to jest właśnie ta słuszna. I mało tego, ona nie tylko została kanonizowana – ona została ogłoszona doktorem Kościoła. To znaczy, że Kościół przyjmuje jako swoją naukę to, co głosiła ta dziewczynka, która umarła, gdy miała 24 lata.

W święto Wszystkich Świętych wspominamy nie tylko świętych kanonizowanych. Niekanonizowanych jest znacznie więcej. Mało tego, wśród tych świętych są święci, którzy nigdy nie byli chrześcijanami, o chrześcijaństwie nic nie wiedzieli. Ja zawsze w tym momencie myślę o ludziach, którzy świadomie oddali swoje życie – za swój kraj, za swoich najbliższych – ale żyli przed Chrystusem. Zawsze myślę o bitwie pod Termopilami, a właściwie w Termopilach. Ówczesne Termopile to nie był jeszcze wąwóz, tylko takie wąskie przejście między stromą skałą a morzem (dzisiaj to już tak nie wygląda, bo dorosło pięć kilometrów lądu). Nas uczono w szkole, że Spartanie razem z królem Leonidasem zginęli dlatego, że nie mogli się wycofać, bo byli Spartanami. To jest nieprawda. Ktoś zdradził królowi perskiemu drogę, którą można obejść Termopile, żeby uderzyć z tyłu. Tam wzdłuż lądu rozciąga się taka długa wyspa Eubeja (dzisiaj jest już zrośnięta z lądem w jednym miejscu i można tam dojechać samochodem). Przez bardzo wąski przesmyk między Eubeją a lądem mogły przepłynąć

dwa statki wojenne obok siebie. Dwa, ale nie więcej. Flota grecka, cała skupiona na północy, mogła więc w każdej chwili zacząć odwrót właśnie przez ten przesmyk, natomiast nie miałaby żadnych szans, gdyby się spotkała z flotą perską na morzu otwartym, bo była po prostu znacznie mniej liczna. I dlatego Leonidas, wiedząc, że okrążają ich Persowie, posyła kogoś do admirała greckiego – czym prędzej przepływajcie. Gdyby Persowie natarli z dwóch stron, już by nie przepuścili tej floty przez przesmyk między Eubeją a lądem stałym. I on na pewno zdawał sobie z tego sprawę. Oddawał swoje życie w pełni świadomie – za swoją ojczyznę, za swój dom, za innych Greków. To samo czynili jego żołnierze (więcej lub mniej świadomi dlaczego). To nie był tylko bohaterski wyczyn, że umieramy, bo nie chcemy się schować – umieramy za innych. I myślę, że Jezus umierał na krzyżu także za nich, chociaż to było ładne paręset lat później.

Jest bardzo wielu ludzi, o których beatyfikacji, już nie mówiąc o kanonizacji, nikt nawet nie pomyśli. A tych świętych są niezliczone tłumy i co więcej (chociaż nie zdajemy sobie z tego sprawy) my się z nimi spotykamy. To jest to świętych obcowanie. W czasie każdej Mszy Świętej nigdy nie jesteśmy sami, jesteśmy zawsze w tłumie, tylko że tego tłumu nie widać. Kiedy byłam młoda, bardzo młoda, pisałam wiersze (potem to porzuciłam, uznawszy, że to nie jest moje powołanie mimo wszystko). I kiedyś napisałam taki wiersz (uważam, że najlepszy z moich) zatytułowany *Msza Wieczna* – obraz wiejskiej kapliczki, małego wiejskiego kościółka. W tym pustym kościele jest tylko kilka starszych pań okrytych szalami, bo jest chłodno, i ministrant, i ksiądz, który odprawia Mszę po łacinie… Tak. Ale w momencie

przeistoczenia ten pusty kościół staje się pełen ludzi – świętych. Wszyscy święci spotykają się w każdej Mszy Świętej. Spotykają się między sobą, ale przede wszystkim spotykają się w Chrystusie i z Chrystusem. My tego nie widzimy – i tylko bardzo rzadko łaska Boża pozwala nam się czegoś takiego domyślać.

Świętym, którego możemy prosić o pomoc, jest każdy zbawiony, a tych zbawionych jest nieprzeliczona rzesza. Czy nie zdarzyło nam się prosić kogoś ze swoich przyjaciół – pomódl się za mnie, w mojej intencji? Prosimy żywych ludzi, a dlaczego nie mamy prosić o tę modlitwę zmarłych? Jaka jest właściwie różnica między żywym a umarłym? Tylko taka, że umarły jest bliżej Chrystusa, bliżej Boga. Ja na przykład proszę moich rodziców, którzy już nie żyją.

Świętych obcowanie to jest bliskość. I to nie tylko bliskość ludzi bardzo odległych, ale ludzi bardzo nam bliskich. Przywykliśmy modlić się „za" zmarłych. I to bardzo dobrze. Ale spróbujmy kiedyś pomodlić się razem z nimi. W przeciwieństwie do mojej matki ja nie mam jakiegoś specjalnego „kultu przodków", kultu grobu, ale starałam się być przy grobie rodziców w te wszystkie dni, kiedy uważałam, że oni by tego chcieli, że matce byłoby przykro, gdyby wiedziała, że ja wtedy nie przyszłam. I kiedyś w lecie byłam na cmentarzu (grób rodziców znajduje się na Powązkach). Pomyślałam, że usiądę tam na ławeczce i pomodlę się za nich. I nagle zorientowałam się, że ja się nie modlę za nich, ale – razem z nimi. Ja wiedziałam, że się modlę razem z nimi. To jest po prostu świętych obcowanie. My się nie modlimy za mało „za" zmarłych (wystarczy posłuchać intencji mszalnych), ale zapominamy, że oni chcą modlić się z nami.

Trwać w Jego obecności

Gdy nie ma czasu na modlitwę...

Czasem ludzie zagonieni i zapracowani – niekiedy ci, którzy żyją i działają właśnie dla Pana Boga – mówią: „Całe moje życie jest modlitwą. I na taką indywidualną, osobistą modlitwę nie mam już czasu". I tutaj chciałam przypomnieć nie tylko słowa Jezusa, ale i Jego samego.

Nie można sobie wyobrazić kogoś, kto byłby bliżej Boga niż On. Jego życie było rzeczywiście całe oddane Ojcu – otrzymywane od Ojca i oddawane Ojcu, i całe było z Bogiem. Ale chciałabym tutaj zwrócić uwagę na taki mały fragmencik Ewangelii świętego Marka – 6 rozdział, werset 31. To jest moment, kiedy Apostołowie powracają ze swojej „wyprawy misyjnej" (Jezus ich posłał, by szli i nauczali) i opowiadają Mu o wszystkim, co czynili i czego uczyli. A Jezus im odpowiada: chodźcie teraz na jakieś osobne miejsce, samotne i pustynne, i odpocznijcie trochę. Bo ciągle ktoś

przychodził i odchodził, tak że po prostu nie mieli czasu na jedzenie. To się parę razy powtarzało – że nie mieli czasu nawet na zjedzenie chleba. Dalej jest jeszcze 32 i 33 werset, który też warto streścić: wzięli sobie łódź i popłynęli na takie pustynne miejsce, żeby być sami. Ale ludzie zobaczyli ich odchodzących i wielu się zorientowało, co się dzieje: pieszo z najbliższych miast i wsi zbiegli się, i byli już na miejscu, kiedy oni dopiero przypływali. Jednym słowem – nie można było od tych ludzi uciec. Jezus się nad nimi zlitował, mówił do nich i znowu nie miał czasu na modlitwę. Ale co On wtedy zrobił? No właśnie.

(...) *przynaglił swych uczniów, żeby wsiedli do łodzi i wyprzedzili Go na drugi brzeg, do Betsaidy, zanim odprawi tłum. Gdy rozstał się z nimi, odszedł na górę, aby się modlić. Wieczór zapadł, łódź była na środku jeziora, a On sam jeden na lądzie. Widząc, jak się trudzili przy wiosłowaniu, bo wiatr był im przeciwny, około czwartej straży nocnej przyszedł do nich, krocząc po jeziorze* (Mk 6,45-48). To jest też podkreślone bardzo wyraźnie w Ewangelii świętego Łukasza, że Jezus często spędza noce na modlitwie – wchodzi na górę i całą noc spędza na modlitwie na tej górze. Powiedzmy sobie, że w Galilei te góry nie są znowu tak bardzo wysokie ani bardzo strome, ale po prostu można tam znaleźć trochę więcej samotności niż gdzieś nad jeziorem.

U Marka (Mk 1,35) jest też opisany Jego pierwszy dzień w Kafarnaum. Jezus jest w synagodze i uzdrawia człowieka opętanego, a potem uzdrawia teściową Piotra (wtedy jeszcze Szymona). To był szabat (sobota), więc nie wolno było wtedy spacerować, ale gdy słońce zajdzie, to szabat się kończy (tam dzień zaczyna się i kończy o zachodzie słońca, inaczej niż u nas). Więc po

zachodzie słońca zbiegły się tłumy ludzi. Oblegli Go ludzie, którzy albo sami byli chorzy, albo przyprowadzali lub przynosili chorych. I Jezus ich uzdrawiał jeszcze długo – można sobie wyobrazić, że do późna w nocy. A potem rano, bardzo wcześnie, tak wcześnie, że jeszcze było całkiem ciemno, Jezus wstał i wyszedł. I odszedł na jakieś miejsce pustynne i tam się modlił.

I jak to jest z tym naszym życiem modlitwy? Czasem jest taka sytuacja, że rzeczywiście Pan Bóg mi zabiera cały czas – ja przeżyłam to w czasie choroby mojej matki. Wtedy nie miałam czasu na nic, bo musiałam być całkowicie przy mojej matce – i to był najcudowniejszy okres modlitwy. To znaczy Pan Bóg tak to urządził. Jak Pan Bóg nam zabiera czas, pozwala nam się wtedy modlić w każdej chwili. Ale chciałabym tu zacytować Katechizm Kościoła Katolickiego – punkty 2697 i 2710. Są ludzie, którzy mówią: zawsze się modlę, bo wszystko, co robię, robię dla Boga... Ale Katechizm mówi: „Nie można jednak modlić się «w każdym czasie», jeśli pragnąc takiej modlitwy, nie modlimy się w pewnych chwilach". Jeśli ktoś nie ma rzeczywiście czasu, to niech to będzie pięć minut, niech to będzie dziesięć minut, ale niech to będzie stale. Niech to będzie taki czas poświęcony Bogu, oddany Bogu. Ale jeszcze dalej jest takie zdanie: „Nie kontemplujemy wtedy, kiedy mamy czas: znajdujemy czas, by być dla Pana, z silnym postanowieniem, aby Mu go później nie odbierać, niezależnie od doświadczeń czy oschłości spotkania". Nie będę się więcej odwoływać do Katechizmu, ale ta część Katechizmu mówiąca o modlitwie jest bardzo ciekawa i bardzo piękna.

Ale czy kraść czas na modlitwę z czasu odpoczynku, na przykład nie wysypiając się przed pójściem do pracy? Też mam ten problem.

Mnie się zdaje, że to zależy od stopnia zmęczenia i od tego, czy na drugi dzień muszę wstać i być przytomna. Na przykład jazda samochodem to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy naprawdę powinniśmy być wyspani; ja mam zajęcia na uniwersytecie i różne inne wykłady, więc też muszę się z tym liczyć. Jednak – jeśli już jestem bardzo zmęczona i jest już bardzo późno – staram się mimo wszystko, żeby coś z tej modlitwy zostało. Mój zwykły czas na modlitwę to pół godziny, więc w razie takiej konieczności skracam go. Chodzi jednak o to, żeby tak nie robić często, żeby to nie było takie rozgrzeszanie się. Wtedy, kiedy tak skracam, wiem niekiedy, że powinnam była coś przesunąć w moim rozkładzie dnia, żeby teraz mieć czas albo żeby ta modlitwa była wcześniej. Ale nierzadko coś wypadnie takiego, co jest niezależne od naszej woli, i wtedy takie skracanie jest w porządku.

Zdarza się niekiedy, że na modlitwie zasypiam. Pamiętam, że kiedyś mówiłam mojemu ojcu duchownemu, że zasypiam i że potem próbuję to nadrobić, modląc się dłużej... ale to też mi nie wychodzi, bo znowu zasypiam... Wtedy ojciec po prostu się roześmiał. I mówi: nie dorabiaj tego, nie uzupełniaj.

Stać przed obliczem Boga

Dochodzimy do postaci królowej Izebel znanej z pierwszej Księgi Królewskiej. Była to księżniczka fenicka, poganka, a zarazem żona żydowskiego króla Achaba, panującego w Królestwie Północnym (tak zwanym Izraelu) ze stolicą w Samarii. No i zaprowadzała w tym królestwie kult swoich licznych bogów, a tępiła w sposób

straszny proroków Jahwe. I tutaj taką wielką postacią (o której jednocześnie niesłychanie mało wiemy) jest prorok, którego imię po hebrajsku brzmi Eljahu, co znaczy „moim Bogiem jest Jahwe". Grecki przekład Septuaginty po prostu przekształcił to imię na formę grecką – Eljas, czyli nasz Eliasz. W 18 rozdziale wyzywa on na pojedynek proroków Baala. Pojedynek polega na tym, że oni ze swojej strony, a on ze swojej przygotowują stos ofiarny, a na tym stosie ofiarnym kładą zabite zwierzę. I teraz zarówno prorocy Baala, jak i Eliasz mają wzywać swojego boga, żeby ten stos podpalił. Proroków Baala było bardzo dużo, więc Eliasz im dał pierwszeństwo – zaczęli wzywać swojego boga i... Baal nic nie zrobił.

Wzięli więc cielca i oprawili go, a potem wzywali imienia Baala od rana aż do południa, wołając: „O Baalu, odpowiedz nam!" Ale nie było ani głosu, ani odpowiedzi. Zaczęli więc tańczyć przyklękając przy ołtarzu, który przygotowali. Kiedy zaś nastało południe, Eliasz szydził z nich, mówiąc: „Wołajcie głośniej, bo to bóg! Więc może zamyślony albo jest zajęty, albo udaje się w drogę. Może on śpi, więc niech się obudzi!" Potem wołali głośniej i kaleczyli się według swojego zwyczaju mieczami oraz oszczepami, aż się pokrwawili. Nawet kiedy już południe minęło, oni jeszcze prorokowali aż do czasu składania ofiary z pokarmów. Ale nie było ani głosu, ani odpowiedzi, ani też dowodu uwagi (1 Krl 18,26-29). Mamy tu opis sposobu wprawiania się w ekstazę tych proroków pogańskich. To jest właśnie charakterystyczne: oni tańczą koło tego stosu i jeszcze się kaleczą, żeby się wprawić w ekstazę, uważając, że to im coś da. *Następnie w porze składania ofiary z pokarmów prorok Eliasz wystąpił i rzekł: „O Panie, Boże Abrahama, Izaaka oraz Izraela! Niech dziś będzie*

wiadomo, że Ty jesteś Bogiem w Izraelu, a ja, Twój sługa, na Twój rozkaz to wszystko uczyniłem. Wysłuchaj mnie, o Panie! Wysłuchaj, aby ten lud zrozumiał, że Ty, o Panie, jesteś Bogiem i Ty nawróciłeś ich serce". A wówczas spadł ogień od Pana „z nieba" i strawił żertwę i drwa oraz kamienie i muł, jako też pochłonął wodę z rowu. Cały lud to ujrzał i upadł na twarz, a potem rzekł: „Naprawdę Jahwe jest Bogiem! Naprawdę Pan jest Bogiem!" Eliasz zaś im rozkazał: „Chwytajcie proroków Baala! Niech nikt z nich nie ujdzie!" Zaraz więc ich schwytali. Eliasz zaś sprowadził ich do potoku Kiszon i tam ich wytracił (1 Krl 18,36-40).

Dla nas Eliasz jest postacią niesłychanie trudną do przyjęcia. To człowiek, który żyje w czasach pełnych rozlewu krwi i gwałtu. Tutaj widzimy go mordującego proroków Baala (a za przyczyną królowej Izebel zostali wymordowani prawie wszyscy prorocy Jahwe), innym razem powoduje w kraju przeraźliwą suszę czy ściąga z nieba piorun... Ale wydaje się, że istota jego posłannictwa leży gdzie indziej: w odkryciu przed nami szczególnej zażyłości, jaka łączy go z Bogiem. Ta zażyłość jest dla niego w tym sensie ważna, że on sam się przez nią określa, powołując się na Boga żywego, przed którego obliczem stoi. I tu jest pytanie, co to znaczy „stać przed obliczem Boga". Współczesne przekłady, nie tylko nasze polskie, tłumaczą to niejasne dla nas wyrażenie słowem „służyć". Jest to tłumaczenie całkowicie prawidłowe, tylko jak to często bywa z tłumaczeniem, traci ono coś z ducha oryginału. Wyrażenie takie powtarza się w Biblii hebrajskiej mniej więcej 80 razy i mniej więcej 40 razy ma to znaczenie dosłowne – znaczy stawić się przed kimś ważnym, przed czyimś obliczem. 15 razy dotyczy to kapłanów i lewitów, którzy stają przed ołtarzem, aby

sprawować kult i w ten sposób służyć swojemu Panu. Około 12 razy wyrażenie to znaczy służyć jednemu z wielkich tego świata czy nawet samemu królowi. Eliasz posługuje się tym zwrotem właśnie w takim znaczeniu, ale odnosi go tylko do służby Bogu. I nie chodzi tutaj o sprawowanie jakiegoś kultu czy o modlitwę wstawienniczą (tak jak w przypadku modlitwy Mojżesza, który stając przed obliczem Jahwe, prosi za swój lud). Eliasz, a potem jego uczeń Elizeusz, używają tych słów w specyficznym znaczeniu: słowa te znaczą „służyć Bogu", ale są także czymś więcej. Po prostu w pewien sposób jest tu powiedziane, jak Eliasz rozumiał tę służbę. I tutaj pytanie: czego Bóg chce? czego oczekuje od nas?

Mądrość i głupota

Jedna rzecz, która powinna być dla nas pocieszająca, to jest to, że Eliasz – ten wielki prorok – przeżywa na początku 1 Krl 19 całkowite załamanie psychiczne. Po prostu zagubił się jakoś. Skarży się, że jest jedynym prorokiem Jahwe, który ocalał – ale jednak rozumie, że musi stać przed obliczem Boga. Co to dla niego znaczy? My sobie nie zdajemy sprawy, że często jesteśmy najbliżej Boga wtedy, kiedy nam się zdaje, że On się w ogóle nami nie interesuje, że nas opuścił, że jesteśmy w całkowitej samotności. Ludzie cierpiący czasem wpadają w rozpacz, na przykład w obozach koncentracyjnych. Spotkałam się z takim stwierdzeniem, że ktoś wolał, żeby Boga nie było. Nie widział innego wyjścia: albo Boga nie ma, albo Bóg jest słaby lub zły, skoro na takie rzeczy pozwala. I w ten sposób ludzie dochodzili do ateizmu. A inni właśnie w tym cierpieniu, w tym upodleniu

(przynajmniej zewnętrznym) odnajdywali Boga; mamy więc również męczenników z obozów koncentracyjnych. Wydaje mi się – wierzę w to – że dużo zawdzięczam właśnie mojemu stryjowi, a właściwie bratu stryjecznemu mojego ojca, księdzu Władysławowi Świderkowi, który zginął w Dachau. Myślę, że on mnie bardzo kochał i bardzo dużo się za mnie modlił.

Postawa Eliasza kojarzy mi się z tą kobietą cierpiącą na krwotok, która przedarła się przez tłum do Jezusa i w geście rozpaczy dotknęła Jego szat (czego nie powinna robić, bo była nieczysta rytualnie). I z tym niewidomym, który krzyczał, chociaż wszyscy mu mówili, że Jezus i tak go nie usłyszy (po ludzku nie było żadnych szans, żeby ktoś go usłyszał w tym tłoku i w tym wrzasku, bo to był przecież wschodni tłum, bardzo hałaśliwy). Tutaj okazuje się, że Bóg, a potem Jezus, potrzebuje właśnie tego naszego zwrócenia się do Niego. I tutaj wiele nam mogą powiedzieć dwie przypowieści z Nowego Testamentu. Myślę tutaj o dziesięciu pannach (zob. Mt 25,1-13) oraz o sługach czekających na pana, który wraca z wesela (zob. Łk 12,35-38).

Charakterystyczne dla obu tych przypowieści jest to, że one są całkowicie skąpane w atmosferze wesela. Te panny czekają na oblubieńca, a tamci słudzy czekają na pana, który powróci z wesela. U Mateusza dziesięć panien czeka na pana młodego. Ten obraz jest zapożyczony w dużej części z rzeczywistego życia Jezusowej Palestyny. Małżeństwo zawierano tam niejako w dwóch etapach. Pierwszy etap to było coś, co byśmy nazwali zaręczynami, choć to było już coś więcej niż zaręczyny: to był akt publiczno-prawny połączony z ustalaniem wysokości sumy, jaką pan młody ma zapłacić rodzinie panny młodej. Od tego momentu młodzi są już

uważani za małżeństwo, więc gdyby teraz jedno zdradziło, to już będzie traktowane jak cudzołóstwo. Właściwe wesele odbywało się natomiast nie więcej niż rok po tych zaręczynach – i dopiero wtedy pannę młodą przyprowadzano uroczyście do domu jej męża. Dziewczynę wydawano za mąż bardzo wcześnie, między 12 a 14 rokiem życia, więc to był ten ostatni okres, kiedy pozostawała w domu swoich rodziców. Panny, które spotykamy w przypowieści, to druhny czekające w domu oblubienicy na przyjście oblubieńca, który w dniu wesela przychodzi po tę swoją małżonkę (zwyczaj nakazywał, żeby się trochę spóźnił, aby kobiety czekające były bardziej „wytęsknione"). I kiedy nadchodził, druhny powinny wyjść mu na spotkanie. Na prawdziwym weselu nie musiało być koniecznie dziesięciu druhen (mogło być więcej lub mniej) i na pewno nikt nie liczył mądrych i głupich. W wersji ugrzecznionej są roztropne i nierozsądne, ale należy tłumaczyć dosłownie – mądre i głupie. Nie ma co się bawić w jakieś ugrzecznianie. Bo prawda jest taka, że w Biblii – zwłaszcza w tekstach dydaktycznych Starego Testamentu – głupi to człowiek, który próbuje budować swoje życie na własnym widzimisię, a mądry to ten, kto stara się pełnić wolę Boga.

Otóż pięć panien było głupich, a pięć mądrych. Wszystkie miały lampy, tylko głupie nie pomyślały o tym, żeby wziąć także zapas oliwy. Czas czekania się dłużył i wreszcie – uwaga! – wszystkie zasnęły. Więc tu nie chodzi o czuwanie. Dopiero o północy obudził je krzyk, który zapowiadał nadejście pana młodego. I wtedy okazało się, że lampy panien głupich już gasną. Chciały pożyczyć oliwy od tych mądrych, ale one nie chciały im oddać, tłumacząc, że wtedy zabraknie im także i w ogóle będą bez światła. Poradziły im,

żeby poszły prędko do sprzedawców (nie wiem, jacy mogli być sprzedawcy o północy, ale to jest przypowieść, więc nie o to tu chodzi). *Gdy one szły kupić, nadszedł pan młody. Te, które były gotowe, weszły z nim na ucztę weselną, i drzwi zamknięto. W końcu nadchodzą i pozostałe panny, prosząc: „Panie, panie, otwórz nam!" Lecz on odpowiedział: „Zaprawdę, powiadam wam, nie znam was".* – To są straszne słowa! – *Czuwajcie więc, bo nie znacie dnia ani godziny* (Mt 25,10-13).

To ostanie zdanie jest prawdopodobnie zdaniem przyklejonym do tej przypowieści przez świętego Mateusza albo przez gminę kościelną, dla której pisał Ewangelię. Wydawało się komuś, że to dobrze pasuje, natomiast nie ulega wątpliwości, że wina, którą ściągnęły na siebie panny głupie, nie polega na tym, że zasnęły, bo zasnęły jedne i drugie. Więc to nie może chodzić o czuwanie; sen tu nie jest winą. Tu chodzi o taką wewnętrzną postawę gotowości – o postawę Eliasza, o stanie przed obliczem Pana. Eliasz bowiem – jak mówi o nim święty Jakub w liście – *był człowiekiem podobnym do nas* (zob. Jk 5,17). Jest moment, kiedy Eliasz nie czuje się na siłach. Ogarnia go znużenie i zniechęcenie i prosi Boga o śmierć: *Wielki już czas, o Panie! Odbierz mi życie, bo nie jestem lepszy od moich przodków* (1 Krl 19,4). I to jest bardzo charakterystyczne, bo te słowa pełne rozpaczy wypowiada „prorok nieugięty". On zasypia na pustyni i dopiero anioł go budzi z odrętwienia (budzi go zresztą kuksańcem po prostu), potem daje mu chleb i wodę i każe mu zjeść, bo czeka go długa droga. I wreszcie wstaje i idzie czterdzieści dni i nocy przez pustynię aż do góry Horeb. I tam spotka się wreszcie z Tym, dla którego on, Eliasz, zawsze ma czas i któremu zawsze jest gotów służyć. To go różni od nas, bo my

często nie mamy dla Boga czasu. I tej gotowości zabrakło właśnie tym głupim pannom – myślały zapewne o sobie i o czekającej je zabawie, a zapomniały o powitaniu oblubieńca. Nie pamiętały, że miały stanąć przed jego obliczem.

Nieustanna gotowość

Od panien mądrych i głupich przejdziemy do Łukasza: *Niech będą przepasane biodra wasze i zapalone pochodnie! A wy [bądźcie] podobni do ludzi oczekujących swego pana, kiedy z uczty weselnej powróci, aby mu zaraz otworzyć, gdy nadejdzie i zakołacze. Szczęśliwi owi słudzy, których pan zastanie czuwających, gdy nadejdzie. Zaprawdę, powiadam wam: Przepasze się i każe im zasiąść do stołu, a obchodząc, będzie im usługiwał. Czy o drugiej, czy o trzeciej straży przyjdzie, szczęśliwi oni, gdy ich tak zastanie. A to rozumiejcie, że gdyby gospodarz wiedział, o której godzinie złodziej ma przyjść, nie pozwoliłby włamać się do swego domu. Wy też bądźcie gotowi, gdyż o godzinie, której się domyślacie, Syn Człowieczy przyjdzie* (Łk 12,35-40). Tutaj mamy jeszcze bardziej oczywiste wskazanie na przyjście Jezusa w tej wielkiej pełnej chwały Paruzji. Co tu jest ważne: słudzy czekają na powrót swego pana z wesela. Przepasane biodra i pochodnie w rękach to właśnie wyraz ich gotowości. Nikt nie wie, kiedy pan nadejdzie; może będzie trzeba czekać aż do drugiej albo trzeciej straży. (W tamtych czasach noc dzieliła się na cztery straże, natomiast dzień na 12 godzin. Straże były po cztery godziny. Dzień pracy trwał od wschodu do zachodu słońca, więc te godziny były albo krótsze, albo dłuższe). Można sobie wyobrazić tę scenę długiego

oczekiwania jako zupełnie realistyczną. Jednak to, co się dzieje, kiedy pan przyjdzie, jest zupełnie nieprawdopodobne: *Szczęśliwi owi słudzy, których pan zastanie czuwających, gdy nadejdzie. Zaprawdę, powiadam wam: Przepasze się i każe im zasiąść do stołu, a obchodząc, będzie im usługiwał* (Łk 12,37). Przepraszam bardzo, ale żaden ludzki pan by się tak nie zachowywał i takiego pana na pewno nie znajdzie się w Palestynie. Normalna sytuacja jest w Łk 17,7-10, natomiast tu jest niewątpliwy obraz nie tyle zwykłego ludzkiego pana, co Tego, który *umiłowawszy swoich* (...), *do końca ich umiłował* (J 13,1) i który na wieczerzy pożegnalnej, przepasawszy się, umywał im nogi. Tutaj jest już ten Pan, i słudzy z przypowieści zasłużyli sobie na Jego łaskę tylko jednym – postawą wiernej gotowości. Postawą, w której oni nie dbali ani o czas, ani o własne znużenie. Nie zrobili nic innego. Oni nawet nie stali przed Jego obliczem, bo Jego jeszcze nie było w tym momencie, ale byli gotowi. I teraz pytanie – po co Wszechmocnemu potrzebna jest właśnie taka postawa?

Może najlepiej możemy to zrozumieć na przykładzie Maryi: Bóg urodzi się jako człowiek, ale pod warunkiem, że młodziutka dziewica wyrazi zgodę na ów cud niepojęty. Ja muszę powiedzieć, że późno zrozumiałam, że ta zgoda wcale nie była taka oczywista. Bo dawniej myślałam: „No przecież ona rozumie przynajmniej tyle, że jej Syn, który się w ten sposób narodzi, będzie mesjaszem". Ale ona jest już małżonką Józefa na tym pierwszym etapie (jeszcze przed wprowadzeniem do jego domu) i jeżeli teraz zajdzie w ciążę, a to nie będzie dziecko Józefa, to ona może być potraktowana jak cudzołożnica. Bo kto to zrozumie? Kto w to uwierzy? Maryja nie próbuje nawet zapytać, jak to się stanie. To znaczy ona się pyta, ale

ona nie pyta się o szczegóły – jej tylko chodzi o to, czy ona ma coś zrobić (jak to się stanie, skoro męża nie znam). Na przykład – co byłoby najprostsze – czy to dziecko ma być fizycznym synem Józefa. Ale kiedy się dowiaduje, że to nie Józef będzie tym ojcem, że ma zostawić to Duchowi Świętemu, mówi spokojnie aniołowi: *Oto służebnica Pana, niech mi się stanie według słowa twego* (Łk 1,38). Tak naprawdę nie ma tu zaimka „ja" i to jest bardzo ważne. Ona nie mówi „oto ja, służebnica", ale „oto służebnica". Maryja nie zwraca się ku sobie, ale ku Bogu. Staje przed Jego obliczem jako służebnica. Po to tylko, żeby Jemu samemu służyć. Jest to deklaracja pełnej gotowości na wszystko, czego On zechce zażądać, a to nie była łatwa perspektywa. Bo gdyby to dziecko miało być bez ojca, to byłoby coś znacznie straszniejszego, niż to, co działoby się w Polsce – powiedzmy sto lat temu – z taką matką i z takim dzieckiem.

I wiele wieków wcześniej, na górze Horeb, Eliasz spotkał się z Bogiem. Długa wędrówka przez pustynię nauczyła go rozpoznawać drogi Boże nawet tam, gdzie oko ludzkie ich nie dostrzega. I tutaj posłyszał głos: *„Wyjdź, aby stanąć na górze wobec Pana!" A oto Pan przechodził. Gwałtowna wichura rozwalająca góry i druzgocąca skały [szła] przed Panem; ale Pan nie był w wichurze. A po wichurze – trzęsienie ziemi: Pan nie był w trzęsieniu ziemi. Po trzęsieniu ziemi powstał ogień: Pan nie był w ogniu. A po tym ogniu – szmer łagodnego powiewu. Kiedy tylko Eliasz go usłyszał, zasłoniwszy twarz płaszczem, wyszedł i stanął przy wejściu do groty* (1 Krl 19,11-13). W oryginalnym teście hebrajskim to nawet nie jest szmerek łagodnego powiewu, tylko raczej głos delikatnej ciszy. Eliasz poznaje swego Boga nie w groźnych zjawiskach natury, lecz

w czymś, co jest nieomal nieuchwytne, a wskazuje na Jego obecność tak wyraźnie, że prorok nie tylko wychodzi z groty, ale jeszcze zasłania sobie twarz z wielką bojaźnią i pokorą. I wówczas właśnie staje w Jego obliczu. Znowu gotów do dalszej służby.

Chciałam powiedzieć jedno o tym słuchaniu i o tym usłyszeniu. Że Eliasz usłyszał głos delikatnej ciszy i poznał w tym głosie delikatnej ciszy Boga. Otóż trzeba dostatecznie mocno podkreślić, że najpierw jest to 40 dni i 40 nocy. To nie znaczy, że dosłownie czterdzieści. To jest dłuższy okres jakiegoś przygotowania, jakiejś pokuty. I on idzie przez pustynię. Bo pustynia to jest to miejsce, gdzie się jest zupełnie samemu, gdzie nic się nie widzi, co by mogło człowieka w jakiś sposób zainteresować, gdzie nie widzimy Boga. On szedł przez pustynię siłą tego cudownego pokarmu, który otrzymał. Nie na darmo chyba kiedyś ojcowie Kościoła widzieli w tym pokarmie, który dał Eliaszowi siłę do tego przejścia przez pustynię, Eucharystię.

Na co czekamy?

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – to jest po prostu najkrótsze wezwanie obecności Bożej nad tym, czym się zajmujemy. To może być każda czynność. Możemy zaczynać pracę naukową czy sprzątanie mieszkania od znaku krzyża. Tutaj oczywiście powiedziałabym tylko jedno: nie wtedy, kiedy to będzie wyglądało na ostentację. Ale kiedy jesteśmy sami, możemy robić wszystko, co się nam podoba.

Pamiętam, jak w dawnych czasach – kiedy jeszcze mieszkałam z babcią i z mamą – na wigilię przychodziło do nas wujostwo, czyli

brat mojej matki ze swoją żoną. Siedzieliśmy przy tej wigilii dosyć długo, ale potem ja zostawiałam wszystkich – czyli to starsze pokolenie, które sobie tam siedziało i rozmawiało – i szłam do kuchni zmywać. To było długie zmywanie. I zmywałam zawsze... w towarzystwie. Nie wiem, czy w towarzystwie Jezusa, czy aniołów – nie umiem tego powiedzieć – ale te zmywania wigilijne zapamiętałam jako taki okres bardzo intensywnej modlitwy. I między innymi właśnie wtedy się nauczyłam, że najbardziej prozaiczna czynność może pomóc w modlitwie.

W Pierwszym Liście do Tesaloniczan było zdanie – *nieustannie się módlcie* (1 Tes 5,17). My możemy się modlić nieustannie – ale tylko wtedy, kiedy w każdym momencie naszego życia wiemy, czy też przypominamy sobie, że każda chwila tego dnia to jest dar Boga. Czasem o tym zapominamy i przeżyjemy cały dzień, nie pomyślawszy o tym. Nie martwmy się – jesteśmy tacy, jacy jesteśmy – ale starajmy się kiedy indziej to nadrobić, to znaczy: nauczyć się dziękować w każdej chwili za to, co nas w danym momencie spotyka. Choćby nas bardzo dziwiło, że tak może wyglądać miłość Boża.

Adwent to czekanie na przyjście Pana. Czekanie synów Starego (Pierwszego) Przymierza, którzy czekali albo na przyjście Dnia Jahwe, który jest mniej więcej tym, co my nazywamy „końcem świata" (zresztą nieprawidłowo, bo to jest raczej pełnia wieków niż koniec świata), albo na mesjasza. Tylko że nam się czasem błędnie zdaje, że na mesjasza czekali wszyscy Izraelici i że wszyscy czekali na tego samego mesjasza. A tak nie było.

Przede wszystkim to, na jakiego mesjasza czekali pobożni Izraelici, znajduje bardzo dobre odbicie na samym początku

Dziejów Apostolskich, kiedy uczniowie Jezusa spotykają się z Nim po Zmartwychwstaniu. *Zapytywali Go zebrani: „Panie, czy w tym czasie przywrócisz królestwo Izraela?”* (Dz 1,6). To jest ważne stwierdzenie – dowód na to, że oni jeszcze nic nie rozumieją. Że oni czekają na mesjasza politycznego. Nawet uczniowie, a cóż dopiero inni! I to nawet już po Zmartwychwstaniu! Wiara w zmartwychwstanie była obecna u faryzeuszów. Faryzeusze czekali na mesjasza, i to mesjasza, syna Dawida, oraz wierzyli w zmartwychwstanie. Pod tym względem faryzeusze byli bardzo bliscy Jezusowi i chyba to jest jeden z powodów, dla których odrzucenie przez nich było dla Jezusa tak bardzo bolesne. Bo to byli właśnie ci, którzy powinni byli Go przyjąć. Ale może za dużo od nich żądamy – musimy sobie bowiem uświadomić, że oni chcieli mesjasza, ale nie takiego mesjasza, który będzie jadał z grzesznikami. Otóż my się czasem łudzimy, że uczniom było łatwiej niż nam – bo oni widzieli Jezusa, oni żyli z Nim przez te (mniej więcej) trzy lata. Ale to nam powinno być łatwiej niż im. Bo my co prawda żyjemy z Jezusem w inny sposób niż oni, ale mamy doświadczenie tych dwóch tysięcy lat, których oni nie mieli.

Tutaj chciałabym powiedzieć, na co my czekamy. Czekamy oczywiście na przyjście Jezusa; czekamy na ten moment, kiedy Syn Człowieczy przyjdzie sądzić świat (to jest odpowiednik tego Dnia Jahwe w Starym Testamencie). Czekamy. Wszyscy czekamy na ten dzień. Tylko wszyscy mamy w gruncie rzeczy przekonanie, że to się stanie kiedyś... ale nie za mojego życia. Kiedyś rozmawiałam na te tematy z moją grupą na Rakowieckiej i ktoś stwierdził (to mi się strasznie spodobało!): „No tak, ale tak samo było z rozpadem ZSRR. Myśmy wszyscy mieli nadzieję, że ten rozpad w końcu nastąpi. Ale

nie za naszego życia". Tymczasem stało się inaczej, więc nie można być tak zupełnie pewnym, jak to będzie. Czy akurat...? Czy na pewno ja nie zobaczę tego, żyjąc na ziemi? Nie wiem. Nikt z nas tego nie wie. To jest jedna wielka niewiadoma, ale liturgia Kościoła w tych wszystkich aklamacjach po Przeistoczeniu nam przypomina: „...oczekując Jego przyjścia w chwale". Tutaj – w takiej czy innej formie – pojawia się to przyjście Jezusa w chwale. Czyli Paruzja. Bo Paruzja to dosłownie po grecku określenie przyjazdu, przyjścia, pojawienia się kogoś ważnego – może nawet cesarza, a jeżeli nie cesarza, to jakiegoś wielkiego, bardzo godnego urzędnika administracji państwowej. Urzędnicy niżsi rangą przygotowują się na taką paruzję kogoś ważniejszego.

Ale – wracając do początku – Jezus przychodzi do nas w każdej chwili naszego życia. I warto to sobie uświadomić. Jezus zresztą mówi w Apokalipsie: *Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli kto posłyszy Mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze Mną* (Ap 3,20). Faryzeusze mieli wielką pretensję do Jezusa, że On jadał z grzesznikami. Myśmy już zatracili poczucie ważności wspólnoty stołu, ale w tamtych czasach to był bardzo ważny element kultury. I Jezus mówi nie tylko, że jeżeli ktoś otworzy drzwi, to wejdzie do niego. To jest jeszcze za mało. I będzie z nim wieczerzał! Tutaj jest to: Ja z nim i on ze Mną. To tak jak wtedy, kiedy Bóg mówi do Izraela: Ja jestem Bogiem dla was. A wy jesteście ludem dla Mnie. To jest związane ściśle z językiem hebrajskim, gdzie nie ma zaimków dzierżawczych osobowych, więc chcąc powiedzieć „ludem moim", mówi się dosłownie „ludem dla mnie". *Wejdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze Mną* – to jest ten najbliższy związek z Jezusem, który przychodzi do mnie

i kołacze do moich drzwi. To bardzo piękna i czcigodna pieśń „U drzwi Twoich stoję, Panie, czekam na Twe zmiłowanie", ale w Piśmie Świętym jest na odwrót! To On stoi u naszych drzwi. Puka i czeka, czy ktoś Mu otworzy. On przychodzi do nas dosłownie w każdej chwili. Także wtedy, kiedy my o tym nie myślimy.

Pustynia i krzyż

Po co się modlić?

Po co się modlić? Co to nam da? To nam coś da, ale najpierw chodzi o to, po co Bogu jest potrzebna nasza modlitwa. Bo przecież Jemu nic nie jest potrzebne! Tak. Ale skoro nas stworzył w ten sposób, że dał nam wolną wolę, to – nie odbierając jej – nie może nas do niczego zmusić. Wobec tego jedyną rzeczą, którą możemy zrobić, żeby Mu ułatwić działanie w nas i przez nas, jest otwarcie się na Niego – na Jego miłość i na Jego wszechmoc. I On wtedy może w nas i przez nas działać. Bo my myślimy, że modlimy się dlatego, że to nam daje siłę, daje łaskę. Ale modlitwa jest potrzebna przede wszystkim dlatego, że to Bóg potrzebuje naszej uwagi. Bo my jesteśmy najczęściej przez cały czas zajęci innymi sprawami. Nie mamy ani czasu, ani myśli dla Pana Boga, a On po prostu nie może się do nas przebić.

A po co modlitwa jest potrzebna nam? Powiedziałabym, że po to, żebyśmy zakosztowali tego szczęścia – w cierpieniu także. Ludziom się czasem zdaje, że jeżeli czegoś nie „czują", to tego nie ma. Tymczasem nie na darmo kardynał Basil Hume (angielski prymas, benedyktyn zresztą) mówił, że najlepszą modlitwą jest spotkanie milczenia Boga z milczeniem człowieka. Wtedy, kiedy my nic nie czujemy. Bo cała rzecz polega na tym, że my w gruncie rzeczy zawsze zaczynamy od tego, że szukamy w modlitwie siebie – chociażby własnego uspokojenia, własnej radości, poczucia siły... i my to bardzo często dostajemy. Przeważnie na początku naszej drogi z Panem Bogiem, bo wtedy człowiek jest jak małe dziecko. Jeśli chcemy, żeby małe dziecko coś zrobiło, to mu dajemy cukierki. I na początku Pan Bóg tak nas lekko zachęca „cukierkami". A potem może całkiem przestać nas głaskać. Właśnie dlatego, że człowiek zaczyna szukać na modlitwie własnej przyjemności, a nie Pana Boga. Jest powiedziane: „wyście jeszcze nie dojrzeli do pokarmu dorosłego" (por. 1 Kor 3,1-2).

Istotą modlitwy jest absolutne oddanie wszystkiego. Prawdziwe oddanie. I wtedy można nie czuć nic i powiedzieć Panu Bogu – no widzisz, ja nic nie czuję, ja Ci nic nie mogę powiedzieć, tylko Ty rób wszystko. To chyba nawet w Katechizmie jest powiedziane, że to jest spotkanie dwóch pragnień: Boga, który pragnie nas, i nas, którzy pragniemy Boga. Ale to prawdziwa modlitwa. Ludzie często odchodzą od modlitwy, nawet odchodzą od Boga, bo nic nie czują. A to jest normalna droga Boga. On nas zawsze – wcześniej czy później, krócej czy dłużej – prowadzi przez pustynię. I cała rzecz polega na tym, jak pisał benedyktyn angielski John Chapman (korespondował z różnymi ludźmi i z tych jego listów wyszła

potem książka wydana przez Tyniec pod tytułem *Listy o modlitwie*), że jeżeli nie mamy nic innego, żeby Bogu ofiarować, bo nic nie czujemy, to ofiarujmy Mu właśnie tę naszą pustkę. Bo On widzi tę pustkę, mało tego – bardzo często ta pustka to Jego dzieło. On nas przez tę pustkę musi przeprowadzić, żebyśmy nie budowali na naszych własnych odczuciach.

Słyszałam kiedyś panią, która powiedziała: ja się modlę, kiedy mam nastrój. To jest całkowicie fałszywe postawienie sprawy. Bo jak modlitwa nam daje jakieś radosne odczucia, jakieś poczucie obecności Bożej czy przynajmniej wielki spokój, to my w końcu idziemy na tę modlitwę dla nas samych. Dla siebie. A tymczasem zapominamy o jednej rzeczy bardzo istotnej, jeżeli chodzi o modlitwę czy nasz udział w Mszy Świętej. Pamiętam, jak kiedyś w dzień powszedni wybierałam się do kościoła, a moja matka z jakichś powodów chciała koniecznie, żebym została w domu. Więc ja potem, oskarżając się na spowiedzi, powiedziałam do mojego ojca duchownego: wydaje mi się, że w takim wypadku powinnam była ustąpić. Po prostu nie iść. Na to on mi odpowiedział: „To zależy od okoliczności, ale pamiętaj o jednym – tam Ktoś na ciebie czeka". I muszę powiedzieć, że miałam takie uczucie, jakby mnie prąd dotknął. Bo mnie nigdy nie przyszło do głowy, że On także czeka. Ja zawsze szłam dla siebie, bo to był mój pokój. To samo dotyczy każdej modlitwy: tak długo, jak ta modlitwa mi sprawia przyjemność, szukam siebie. I Bóg musi nas przeprowadzić przez pustynię, żeby nam pokazać, że to o Niego chodzi.

Pustynia

Droga do Pana wiedzie zawsze przez pustynię, a my na ogół tego nie wiemy. Na początku naszej drogi do Boga – wszystko jedno kiedyśmy zaczęli, bo Bóg mógł nas złapać na samym początku naszego życia świadomego, a mógł nas złapać bardzo późno – na ogół tak się dzieje, że Bóg nam daje cukierki, jak dziecku, żeby je do czegoś zachęcić. Ale to początek. Potem musimy przejść – każdy z nas prędzej czy później – przez pustynię, dlatego nie należy się temu ani dziwić ani tego lękać. Po chrzcie w Jordanie Duch Święty wygnał na pustynię Jezusa. Dosłownie „wygnał", tak jest u Marka w oryginale greckim. Wyrzucił Go na pustynię. Przez pustynię prowadził Mojżesz swój lud po wyjściu z Egiptu i zawsze pustynia jest miejscem największych łask i objawień. To jest ta ziemia sucha i pusta, która jest jednocześnie czysta i odzierająca z wszelkich złudzeń. Kraina bez dróg to jedyna droga na górę spotkania człowieka z Bogiem. Bez względu na to, jak będziemy tę górę nazywać: Synajem, Horebem czy zgoła inaczej jeszcze. Historia proroka Eliasza (1 Krl 19), jego droga przez pustynię do Boga, to jest właśnie przykład – on, wielki prorok, musiał przejść przez pustynię. Tak jak Jezus był 40 dni i nocy na pustyni, tak on idzie przez 40 dni i nocy przez pustynię. Pamiętajmy, że 40 to jest liczba symboliczna. To znaczy jakiś dłuższy okres (ale nie bardzo długi) przygotowania, pokuty, oczyszczenia. I trzeba, żeby dusza nauczyła się trwać w obecności Boga, trwać w nocy i w wierze.

Długa modlitwa to szkoła modlitwy. W tej pustce, gdzie nic nie wzbudza naszego zainteresowania, gdzie męczymy się czasem bardzo, serce oczyszcza się przez... nudę. Której dlatego właśnie nie należy się lękać. Ale czasem jest jeszcze gorzej. Bo czasem jest

coś więcej niż pustka i nuda. W tej krainie pozbawionej wszelkich szlaków trzeba pozwolić Bogu, żeby On sam bezpośrednio nas prowadził swoimi drogami, które nie są drogami naszymi, które wydają się nam nieraz znacznie dłuższe i trudniejsze od naszych własnych.

I tutaj chciałam powołać się na autora, który mnie w swoim czasie niesłychanie dużo nauczył. To benedyktyn angielski z początku XX wieku (właściwie z końca XIX wieku, a umarł w 1933 roku). Pisał listy do różnych ludzi – świeckich, kapłanów, zakonnic czy zakonników. To był jego sposób kierownictwa duchowego. Przypuszczam, że miał także innych podopiecznych, ale byli tacy, którzy pisali do niego i on im odpisywał. Po polsku Tyniec wydał ten zbiór jako *Listy o modlitwie*. Otóż Chapman pisze, że nie ma innej doskonałości poza zjednoczeniem się – czynnie i biernie – z wolą Bożą. Chodzi o to, żeby starać się być tym, kim On chce, żebyśmy byli, i robić to, czego On od nas oczekuje. I to jest właśnie droga do spotkania z Bogiem w każdej chwili naszego życia. W doskonałości chodzi o oddanie się Bogu. My często mówimy: „No dobrze, ja mogę się zgodzić, że coś, co jest z zewnątrz, to jest wola Boża, ale jeżeli to we mnie coś – na przykład moja własna dusza – się buntuje?". Otóż Bóg może prowadzić nas także poprzez wewnętrzne poruszenia naszej duszy. Oprócz naszych świadomych niedoskonałości wszystko – zarówno to, co przychodzi z zewnątrz, jak i to, co przychodzi z wewnątrz – może być dotknięciem nas przez Boga. To jest tak zwany sakrament chwili bieżącej. I w każdej chwili Bóg zadaje nam to pytanie, jakie zadał Piotrowi: „Czy kochasz Mnie?" (por. J. Chapman, *Listy o modlitwie*, Tyniec, 2004, s. 54, 135). W tej książce jest też takie

miejsce, gdzie mowa o tym, że my poruszamy się i jesteśmy w Nim. W Jego woli. Jesteśmy jak ryba w wodzie. W każdej chwili spotykamy się z Nim – jeżeli tylko tego chcemy. Jeżeli tylko otwieramy się na Niego. I to jest coś niesłychanie ważnego.

Chciałam na zakończenie zacytować jeszcze fragment książeczki Tomasza Mertona *Życie i świętość*. Merton się w niej zastanawia, kto to jest chrześcijanin doskonały, i mówi: „(...) to nie ten, kto jest niezawodnie nieskazitelny i poza wszelką słabością moralną, ale ten, którego oczy zostały oświecone, by mógł poznać w pełni bezmiar miłosierdzia Chrystusowego, toteż nie niepokoi się już smutkami i słabościami doczesnego życia. Jego ufność w Bogu jest doskonała, ponieważ on wie już jak gdyby z doświadczenia, że Bóg nie może go zawieść (...). Jak mówi Klemens Aleksandryjski, tacy doskonali chrześcijanie, doskonali w nadziei i poznaniu Bożego miłosierdzia, są zawsze z Bogiem w modlitwie, bo jeśli nawet nie modlą się wprost, to i tak szukają Boga i polegają tylko na Jego łasce. Ale na tym nie dosyć: skoro bowiem szukają jedynie woli Bożej, każda prośba ich serca, wypowiedziana czy niewypowiedziana, jest spełniana przez Boga. Dla takich ludzi, prawdziwych miłośników Boga, wszystkie rzeczy, bez względu na to, czy wydają się dobre, czy złe, są w rzeczywistości dobre. Wszystkie rzeczy objawiają miłosierną miłość Boga. Wszystkie pozwalają im wzrastać w miłości. Wszelkie wydarzenia służą ściślejszemu zjednoczeniu ich z Bogiem. Dla takich ludzi nie ma już więcej przeszkód. Nawet przeszkody przemienił Bóg w środki do osiągnięcia ich celu, który jest też Jego celem” (T. Merton, *Życie i świętość*, Tyniec 1994, s. 140–141).

Rzecz polega na tym, czy my naprawdę chcemy pełnić wolę Boga. Nam się czasem zdaje, że nie chcemy zupełnie, ale zastanówmy się w takim momencie: „To czego ja chcę? Czy ja naprawdę nie chcę?". Bo jeżeli ja chcę (czasem dochodzimy do tego z trudem), to wtedy rzeczywiście staje się cud. Wtedy to, co jest uznane przez ludzi za nieszczęście, jest drogą do celu – do celu Boga, ale także mojego. Pamiętam taki bardzo trudny moment w moim życiu. Gdy to się zdarzyło, akurat nie mogłam rozmawiać z telefonu domowego i dlatego długo rozmawiałam przez automat telefoniczny. Kiedy wyszłam, ktoś z kolejki do automatu powiedział do mnie: „O, pani z kochankiem swoim rozmawiała!". I ja wtedy powiedziałam: „O, gdyby pana spotkało takie nieszczęście jak mnie...". Ja musiałam to odpowiednio powiedzieć, bo ci ludzie zmienili się od razu. Oni jakoś odczuli w tym prawdę. Ale ja odeszłam parę kroków – wiem doskonale, kiedy to się działo – i raptem zrozumiałam: to, co mnie wtedy spotkało, to nie było nieszczęście (jeśli było, to tylko po ludzku), to było po prostu bardzo trudne zadanie. I zrozumienie tego pomagało mi w późniejszych latach.

Jesteśmy na Golgocie

Miłosierdzie Boga w Biblii to nie jest to, co my nazywamy miłosierdziem, ani to nie jest *misericordia* łacińska. To jest *hesed*. Nie mogę powiedzieć, że *hesed* to więcej niż miłość, ale to pewien aspekt miłości. To jest postawa dwóch partnerów przymierza do siebie – ta właściwa postawa, taka, jaką powinni mieć. To nie jest litość. To znaczy – my możemy przyjąć litość Boga (przede wszystkim Boga), bo wiemy, że myśmy właściwie nie zasłużyli.

Były takie momenty w życiu każdego człowieka, kiedy on właściwie nie zasługiwał, ale Bóg jest nieskończenie pełen miłości. Ale mnie denerwuje zawsze, kiedy my z tej Bożej litości czy Bożego *hesed* robimy jakiś taki „jęk".

Gdy Jan Paweł II był ostatni raz w Łagiewnikach, poszerzył trochę tę koronkę do miłosierdzia Bożego. Dodał jeden ważny element, tylko tego się nie zachowuje. Bo tam, gdzie jest „dla Jego bolesnej Męki", on powiedział „dla bolesnej Męki i Zmartwychwstania Twojego Syna". Przecież nie można pomijać Zmartwychwstania! I tutaj jest jeszcze jedna rzecz. Ta modlitwa się zaczyna czymś niesłychanie pięknym i czymś, czego sama Faustyna z pewnością by nie wymyśliła (i to dla mnie znak, że to jest rzeczywiście Boże objawienie). To słowa „ofiaruję Ci Ciało i Krew..." – przecież to jest nasz udział we Mszy!

W liturgii jest jedna bardzo ważna rzecz, na którą często nie zwraca się uwagi – to są słowa Przeistoczenia. Bo za każdym razem kapłan, który odprawia Mszę, mówi: „czyńcie to na Moją pamiątkę". I co to znaczy ta pamiątka? Ja nie uważam, że to złe tłumaczenie. My po prostu nie mamy odpowiednika w słowniku. To jest 12 rozdział Księgi Wyjścia: *Dzień ten będzie dla was dniem pamiętnym i obchodzić go będziecie jako święto dla uczczenia Pana* (Wj 12,14). Ale to jest coś więcej niż dzień pamiętny czy pamiątka. Ktoś napisał, że to jest nieomal sakramentalne, bo to jest uobecnienie przeszłości. To jest ta sakramentalna obecność.

Jest bardzo charakterystyczny werset z rytuału paschy żydowskiej, gdzie jest powiedziane, że każdy żyd w momencie odprawiania paschy, w momencie odprawiania uczty paschalnej, ma myśleć, że to on dziś wychodzi z Egiptu. Tutaj bym radziła

znaleźć taką małą książeczkę Ojca Świętego, Jana Pawła II, poświęconą jego własnemu kapłaństwu. Tam Ojciec Święty mówi właśnie, że jeżeli bierzemy udział w Mszy, to nie tylko kapłani, ale my wszyscy mamy udział w kapłaństwie powszechnym. Jest tylko taka różnica między kapłanem a nami, że kapłan sakramentalny, a więc ten, kto posiada sakrament kapłaństwa, ma moc rozdarcia czasu i przestrzeni.

To nie znaczy, że ofiara Jezusa się powtarza. Nie, oczywiście, że nie. Wystarczy wziąć rozdział dziesiąty Listu do Hebrajczyków: *Ofiary ani daru nie chciałeś, ale Mi utworzyłeś ciało; całopalenia i ofiary za grzech nie podobały się Tobie. Wtedy rzekłem: Oto idę – w zwoju księgi napisano o Mnie – abym spełniał wolę Twoją, Boże* (Hbr 10,5-7). To cytat z Psalmu 40: *Nie chciałeś ofiary krwawej ani obiaty, lecz otwarłeś mi uszy; całopalenia i żertwy za grzech nie żądałeś. Wtedy powiedziałem: Oto przychodzę; w zwoju księgi o mnie napisano: Jest moją radością, mój Boże, czynić Twoją wolę, a Prawo Twoje mieszka w moim wnętrzu* (Ps 40,7-9). W Liście do Hebrajczyków jest wprowadzona zmiana – „utworzyłeś mi ciało" zamiast „otwarłeś mi uszy". Kardynał Ratzinger w swoim czasie prowadził rekolekcje na Watykanie dla Ojca Świętego i wykorzystał ten psalm i ten tekst. Powiedział wtedy, że wcielenie Jezusa to jest wcielenie posłuszeństwa, to jest posłuszeństwo wcielone. To jest właśnie to: (...) *ofiar, darów, całopaleń i ofiar za grzech nie chciałeś i nie podobały się Tobie, choć składa się je na podstawie Prawa.* Następnie powiedział: *Oto idę, abym spełniał wolę Twoją. Usuwa jedną [ofiarę], aby ustanowić inną. Na mocy tej woli uświęceni jesteśmy przez ofiarę ciała Jezusa Chrystusa raz na zawsze* (Hbr 10,8-10). I potem będzie werset: *Jedną bowiem ofiarą*

udoskonalił na wieki tych, którzy są uświęcani (Hbr 10,14). I tutaj jest coś niesłychanie ciekawego. Mianowicie to „udoskonalił" jest greckim *perfectum*, czyli skutek przeszłej czynności trwający w teraźniejszości. On jeden raz umarł. Zresztą wcześniej autor Listu do Hebrajczyków mówi, że jeżeliby trzeba było powtarzać tę ofiarę, to Chrystus musiałby cierpieć nieskończoną ilość razy od początku świata. A tutaj jedną ofiarą ich udoskonalił – oni są doskonali na wieki. Ale kto? – ci, którzy są uświęcani (to jest *participium* czasu teraźniejszego). Wszyscy, którzy są uświęcani we wszystkich pokoleniach, jakie następują.

Ojciec Święty, mówiąc o kapłaństwie i o Mszy, mówi że to jest „Pamiątka-Obecność". Przez duże P i duże O. My sobie nie zdajemy z tego sprawy (zresztą bez specjalnej łaski Boga to jest bardzo trudno przeżyć), ale w momencie, kiedy na Mszy dokonuje się Przeistoczenie, jesteśmy, jeżeli tylko tego chcemy, na Golgocie.

„Niech weźmie swój krzyż"

Dlaczego Chrystus cierpiał? Bo On chciał oddać wszystko. To jest zawarte w takim moim ukochanym wersecie z szóstego rozdziału Ewangelii świętego Jana: (...) *Ja żyję przez Ojca, tak i ten, kto pożywa ciało moje, będzie żył przeze Mnie* (J 6,57). Chodzi o to „przez". Oczywiście Jezus nie mówił po grecku, ale my mamy tekst Ewangelii tylko po grecku, i tutaj „przez" to jest taki przyimek *dia*, który połączony z czwartym przypadkiem oznacza, że ja nie mogę bez tego żyć. Jeżeli „Ja żyję przez Ojca", to znaczy, że On jest całym Moim życiem. To, co jest zawarte w tym „przez Ojca", najlepiej wyraził Benedykt XVI wtedy, kiedy nawet nie był jeszcze

kardynałem, w swojej książce *Wprowadzenie w chrześcijaństwo*. Że Jezus wszystko otrzymuje od Ojca i że całkowicie wszystko oddaje. I tutaj jest taka rzecz. Wiele osób niepokoi się cierpieniem Jezusa. Ale to nie jest tylko Jego tajemnica. To jest tajemnica całej Trójcy Świętej. Bo to jest to pełne oddanie wzajemne. To nie jest to, że Ojciec kazał Jezusowi cierpieć. To nie jest to. To jest to, że Jezus chce oddać się w całości. I to jest właśnie ta miłość – pełna, całkowita.

Przed wielu, wielu laty pewna stara zmartwychwstanka powiedziała mi, że prawdziwą radość znajduje się dopiero w cierpieniu. I mnie się to wtedy wydawało zupełnie bez sensu. W ogóle nie mogłam tego zrozumieć. Ale tego trzeba doświadczyć, trzeba to przeżyć po prostu. To znaczy, trzeba powiedzieć jedno: właśnie w cierpieniu trzeba zaufać Bogu. Jeśli prosimy Go o pomoc, dlatego że sami sobie nie dajemy rady, to wtedy rzeczywiście poznajemy przedziwny smak radości, która istnieje razem z cierpieniem. Nie chodzi o radość, że ja cierpię czy że cierpi ktoś mi bliski. Nie, absolutnie nie. Chodzi o radość poczucia, że w tym wszystkim jest Bóg. On wtedy po prostu przychodzi i spotyka się z nami.

W Starym Testamencie, w opowiadaniu o Józefie Egipskim, Józef po latach mówi do braci, którzy go sprzedali: „Nie bójcie się. Wyście mnie sprzedali, ale Bóg tego chciał. Bóg chciał, żebym ja był w Egipcie, żebym uratował Egipt i was". Co więcej, ta cała scena powtarza się dwa razy. Dwa razy w dwunastu rozdziałach Księgi Rodzaju od 38 rozdziału do 50. W 50 rozdziale (po śmierci Jakuba) powtarza się to samo. Dlaczego? Jeśli autorzy biblijni chcieli powtórzyć to drugi raz przy końcu, to chcieli, żeby to wszystkim

czytelnikom zapadło w pamięć. Jeśli na mnie spada krzywda, jeżeli ktoś mi robi jawną i oczywistą krzywdę, i to ze złej woli – bo oni mieli złą wolę – to wszystko zależy ode mnie. Przecież w tym wypadku wszystko zależało od Józefa. Józef mógł ich powiesić – nikt by się nie zdziwił. Jeszcze torturować. Mógł zrobić, co mu się podobało. To zależy, jak się przyjmuje to, co się dzieje. Józef wszystko łączył z Bogiem. To się powtarza wielokrotnie. Gdy faraon oznajmił, że słyszał, że on tak pięknie tłumaczy sny, on odpowiedział: „To nie ja, to Pan Bóg chciał żebym przetłumaczył". On wszystko oddaje Bogu, wszystko stawia na Boga – i dlatego mu to wychodzi. To, że potem w czasach Mojżesza inny faraon się uparł, żeby nie wypuścić Izraela, to też było z woli Bożej. To znaczy, że Bóg mu na to pozwolił, bo tu chodziło właśnie o podkreślenie mocy Bożej i chwały.

W Nowym Testamencie Jezus mówi: *Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje* (Mt 16,24). Może nie tyle „naśladuje", co „niech idzie za Mną". Tutaj jest słowo greckie, który przetłumaczono na łacinę czasownikiem mogącym znaczyć zarówno „iść za kimś", jak i „naśladować" (zresztą polskie „naśladować" to też literalnie „iść śladem" kogoś). Ale po grecku jest nie tyle „naśladuje", co „niech mi towarzyszy". Na czym jednak polega to niesienie krzyża w naszym życiu? Ja bardzo nie lubię, jak ludzie mówią, że niosą różne „krzyżyki" (w ogóle nie lubię słowa „krzyżyk"). Mnie się osobiście zdaje, że cierpienie można nazwać krzyżem dopiero wtedy, kiedy my to cierpienie przyjmujemy – tak jak Jezus przyjmuje swój krzyż. To jest to, co jest najtrudniejsze w cierpieniu. Mała Teresa od Dzieciątka Jezus mówiła, że jeżeli nas spotyka coś bolesnego, to my

się odruchowo kurczymy i staramy się jakoś od tego wykręcić. Ale jeżeli to przyjmiemy, jeżeli tak się rozciągniemy na tym krzyżu, to co prawda nas nie przestanie boleć, ale będzie znacznie prościej. Kiedyś, w bardzo trudnym dla mnie momencie, wykręcałam się od cierpienia i wtedy przypomniały mi się słowa: „w prostocie serca mojego radośnie oddałem Ci wszystko". Wszystko... To Jego łaska oczywiście, ale od tego momentu wszystko stało się łatwe.

Ryzyko służby

Podobnie też [jest] jak z pewnym człowiekiem, który mając się udać w podroż, przywołał swoje sługi i przekazał im swój majątek. Jednemu dał pięć talentów, drugiemu dwa, trzeciemu jeden, każdemu według jego zdolności, i odjechał. Zaraz ten, który otrzymał pięć talentów, poszedł, puścił je w obrót i zyskał drugie pięć. Tak samo i ten, który dwa otrzymał; on również zyskał drugie dwa. Ten zaś, który otrzymał jeden, poszedł i rozkopawszy ziemię, ukrył pieniądze swego pana.

Po dłuższym czasie powrócił pan owych sług i zaczął rozliczać się z nimi. Wówczas przyszedł ten, który otrzymał pięć talentów. Przyniósł drugie pięć i rzekł: „Panie, przekazałeś mi pięć talentów, oto drugie pięć talentów zyskałem". Rzekł mu pan: „Dobrze, sługo dobry i wierny! Byłeś wierny w rzeczach niewielu, nad wieloma cię postawie: wejdź do radości twego pana!". Przyszedł również i ten, który otrzymał dwa talenty, mówiąc: „Panie, przekazałeś mi dwa talenty, oto drugie dwa talenty zyskałem". Rzekł mu pan: „Dobrze, sługo dobry i wierny! Byłeś wierny w rzeczach niewielu, nad wieloma cię postawię: wejdź do radości twego pana!". Przyszedł i ten, który

otrzymał jeden talent, i rzekł: „Panie, wiedziałem, żeś jest człowiek twardy: chcesz żąć tam, gdzie nie posiałeś, i zbierać tam, gdzieś nie rozsypał. Bojąc się więc, poszedłem i ukryłem twój talent w ziemi. Oto masz swoją własność!". Odrzekł mu pan jego: „Sługo zły i gnuśny! Wiedziałeś, że chcę żąć tam, gdzie nie posiałem, i zbierać tam, gdziem nie rozsypał. Powinieneś więc był oddać moje pieniądze bankierom, a ja po powrocie byłbym z zyskiem odebrał swoją własność. Dlatego odbierzcie mu ten talent, a dajcie temu, który ma dziesięć talentów. Każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma (Mt 25,14-29).

Talent to jest więcej niż mina (por. Łk 19,12-26) – to jest bardzo duża ilość pieniędzy. Mina to jest trochę mniej. Tak czy inaczej chodzi tu o pieniądze, chociaż z tej przypowieści o talentach wywodzi się chyba nasze słowo „talent" – że ktoś ma talent albo go nie ma. Ale tego w samym słowie „talent" po grecku nie było.

Co to znaczy, że *każdemu, kto ma, będzie dodane, a temu, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma*? Kto zabierze? W obu wypadkach (sprawdzałam w oryginale greckim) mamy do czynienia z formą bierną, *passivum*. To jest tak zwane *passivum divinum*: tu mówi się o czymś, co przychodzi od Boga, co Bóg czyni. Kto odbierze, kto doda? Tutaj tym, który odbiera i daje, jest Bóg. Czyli nie tyle „zabiorą", co „zostanie zabrane". To jest dosyć łatwe – tylko pod warunkiem, że na to odpowiednio spojrzymy. Podsumowanie tej przypowieści jest takie: ten, który zakopał ten talent i nic z nim nie zrobił, nie pomnożył go – jest winny. Takie jest prawo życia z Bogiem. Jeżeli my Mu coś dajemy, zdobywamy się na jakąś małą rzecz dla Niego (ktoś powiedział, że jeżeli Bogu „damy mały palec"),

to On nam od razu da całe mnóstwo rzeczy. To nie jest tak, że ja Bogu daję tyle i tyle samo dostaję. Ale jeżeli Mu zabierzemy jakiś drobiazg, to On też nam coś „odbiera". To znaczy: tracimy jakąś okazję do otrzymania Jego łaski – to jest właśnie to.

Życie z Bogiem to jest życie w ciągłej miłości. A miłość to jest przyjmowanie i dawanie. Tym, czego Bóg od nas bardzo często chce, jest właśnie przyjęcie czegoś lub kogoś. Czasem to może być człowiek, który do nas przychodzi, a czasem to jest coś, co nas nawiedza – jakaś choroba czy coś, co trudno jest nam przyjąć. Przyznaję, że mnie czasem trudno przyjmować rzeczy bardzo drobne... Ja zawsze się śmieję, że czymś, z czego nie zdaję egzaminu, jest sytuacja, kiedy mróz na dworze, a kaloryfer stygnie... To jest głupstwo! – ja wiem, że to jest głupstwo, ale czasem wpadam w panikę. Bo nie potrafię takiego drobiazgu oddać. I wtedy się wszystko psuje. Może nie wszystko, ale bardzo dużo się psuje.

Pan ma pretensję do tego sługi, że nie dał tego talentu bankierom, bo On by wtedy odebrał z zyskiem ten talent. I tutaj jest rzecz ciekawa: to jest zachęta do ryzyka. Jeżeli my chcemy służyć Bogu, to musimy akceptować ryzyko tej służby.

Bóg, którego spotykam

Merton mocno podkreślał to, że w każdej chwili spotykamy Boga. Bez względu na to, czy jest to chwila szczęśliwa czy nieszczęśliwa. I wiem, że to rzecz bardzo trudna dla wszystkich, którym Bóg jeszcze tego osobiście nie pokazał. To trzeba przeżyć. Tak długo, jak długo wszystko się układa według naszych życzeń, łatwo nam

wierzyć, że to Bóg zsyła różne łaski. Ale wtedy, kiedy ta chwila bieżąca staje się bardzo trudna, ludzie się buntują, po prostu nie rozumieją, o co chodzi. Ja może wrócę jeszcze tutaj na chwilę do Mertona (T. Merton, *Życie i świętość*, Tyniec 1994, s. 140-141), gdzie jest powiedziane: „Dla takich ludzi, prawdziwych miłośników Boga, wszystkie rzeczy, bez względu na to, czy wydają się dobre, czy złe, są w rzeczywistości dobre. Wszystkie rzeczy objawiają miłosierną miłość Boga. Wszystkie pozwalają im wzrastać w miłości. Wszelkie wydarzenia służą ściślejszemu zjednoczeniu ich z Bogiem". To jest najdziwniejsze: „Dla takich ludzi nie ma już więcej przeszkód. Nawet przeszkody przemienił Bóg w środki do osiągnięcia ich celu". Celu tych ludzi! Dlaczego? Dlatego, że ten ich cel jest także Jego własnym celem. Bo człowiek widzi na każdym kroku Boga. Oczywiście nie w znaczeniu dosłownego widzenia... Chociaż ksiądz Twardowski miał kiedyś taką przygodę, że zabrali go do UB (nie wiem, jak to się wtedy nazywało, bo UB też zmieniało swoje nazwy) i zaczęli go wypytywać: „Dlaczego ksiądz mówi ciągle o Bogu?", „Co ksiądz wie o Bogu?". A on powiedział, że się z Nim spotyka. „Jak to?! Ksiądz mówi, że ksiądz widzi Boga?!". „No dzisiaj się z Nim spotkałem". I wtedy go od razu odprawili i już więcej go nie niepokoili. Chyba doszli do wniosku, że zwariował. Ale na tym to polega: że każda rzecz, która mnie spotyka – wtedy, kiedy to nie ja coś robię, tylko coś na mnie „spada" – to zawsze jest Jego miłość. Ale to trzeba przeżyć – wystarczy raz. Wiem, bo spotykałam się z ludźmi, którzy służyli Panu Bogu lepiej niż ja, ale nie mogli tego zrozumieć.

Ja takie najmocniejsze doświadczenie Jego miłości przeżyłam w 1956 roku. Miałam wtedy 30 lat i spieszyłam się do domu. To był

3 marca, imieniny mojej mamy. Na Nowym Świecie i na Ordynackiej zrzucano sople z dachu, dlatego że poprzedniego dnia taki spadający sopel zabił jakąś kobietę. Chciałam przebiec szybko przez Ordynacką, bo szłam jeszcze na pocztę, pośliznęłam się na jednym z tych sopli i trzasnęłam stopą w krawężnik. Gdy mnie podnieśli, nie mogłam stanąć na tej nodze, bo miałam ją zupełnie wybitą ze stawu. Zrobiono wtedy głupstwo – zresztą z najlepszego serca – bo wsadzono mnie do taksówki i zamiast od razu do szpitala, zawieziono mnie na pogotowie. Tam zdarzyło się coś tak komicznego, że może warto to opowiedzieć. Nie było akurat lekarki, tylko dwie pielęgniarki. Ja miałam tę nogę wybitą w kostce ze stawu zupełnie. Pod takim kątem, pod jakim jeszcze nigdy nogi nie miałam. A te pielęgniarki usiłowały mnie przekonać, że ja się z taką nogą urodziłam! To był chyba jeden z najbardziej zabawnych elementów tego zdarzenia. Jak przyszła lekarka, która nie miała takich wątpliwości, zatrzymała mnie, bo trzeba było zrobić rentgena. Pani, która robiła mi tego rentgena, wykręcała mi tę nogę na wszystkie strony, a jak płakałam, to na mnie krzyczała. Wtedy okazało się, że mam złamane dwie kostki i strzałkę, więc przewieźli mnie do szpitala. Przewieźli około piątej po południu, a wypadek zdarzył się koło dwunastej. Ponieważ na pogotowiu zapomniano dać mi to zdjęcie rentgenowskie, które zrobili, w szpitalu trzeba było zrobić drugie. Gdy w końcu złożono mi tę nogę i założono gips, była dziewiąta wieczorem. I wtedy sobie uświadomiłam, że nic nie jadłam od śniadania, więc poprosiłam salową o coś do jedzenia. Ona nie bardzo miała, więc przyniosła mi tylko herbatę i kawałek suchego chleba. A dwie panie, które były w tym samym małym pokoiku, potem mi mówiły, że się

zastanawiały, co mi właściwie jest. Bo widziały ten mokry gips, ale ja jadłam ten suchy chleb i byłam taka promienna, taka radosna!... Bo jeszcze tam na ulicy, pierwszy moment to było przerażenie, a drugi moment – zrozumienie, że to jest Jego miłość. Nawet w tym, co nam się wydaje obiektywnie złe. To było takie cudowne, że przez te wszystkie godziny żyłam właśnie tą świadomością.

Modlimy się „i nie wódź nas na pokuszenie". Pokuszenie to słowo staropolskie; w tej chwili nie mówi się o pokuszeniu, tylko o pokusie. Jest to słowo bardzo wszechstronne, które może oznaczać próbę. Nie wystawiaj nas na próbę, czyli nie wprowadzaj nas w taką próbę, której się boimy, że nie zdamy. Niektórzy tłumaczą czasem „nie pozwalaj, żebyśmy ulegli pokusie". Tam jest prośba o to, żebyśmy się nie znaleźli w takiej sytuacji (takiej próbie), której byśmy nie podołali. Bóg nie wodzi nas na pokuszenie, ale na nie pozwala – prowadzi nas przez różne trudne sytuacje, bo to jest nasze wychowanie.

Jest taki maleńki fragment z Listu do Filipian. To jest tekst niesłychanie ważny. Od pierwszego słowa tego tekstu Mszę niedzielną z trzeciej niedzieli adwentowej (kiedy celebrans jest wyjątkowo ubrany nie na fioletowo, tylko na różowo) nazwano Mszą Gaudete, czyli po łacinie – „radujcie się". I od tych słów cała niedziela wzięła swoją nazwę. *Radujcie się zawsze w Panu; jeszcze raz powtarzam: radujcie się! Niech będzie znana wszystkim ludziom wasza wyrozumiała łagodność: Pan jest blisko! O nic się już zbytnio nie troskajcie, ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganiu z dziękczynieniem! A pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł, będzie strzegł waszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie* (Flp 4,4-7).

To taki tekst niesłychanie adwentowy. *Wasza wyrozumiała łagodność* to w oryginale greckie słowo właściwie nieprzetłumaczalne. Jest takie staropolskie słowo „spolegliwość", ale my go już nie rozumiemy, a trudno tłumaczyć jedno słowo niezrozumiałe drugim słowem niezrozumiałym. Ale to taka ustępliwość, chęć dostosowania się do tego, czego drugi człowiek ode mnie pragnie. I niech to będzie znane wszystkim ludziom. I potem: *Pan blisko!* Nie ma tam słowa „jest". To taki okrzyk i wydaje mi się, że to właśnie serce tego tekstu. Jednocześnie serce adwentowe. I to dlatego mamy być ciągle pełni radości. Bo Pan blisko! I dlatego tak mamy zachowywać się wobec innych, żeby ci inni – którzy tego nie wiedzą, nie odczuwają – widzieli, że my żyjemy w tej świadomości. Że Pan blisko. Mamy we wszystkim widzieć przychodzącego Pana. Mamy się modlić, mamy prosić, ale jednocześnie w naszej modlitwie ma być już dziękczynienie. Cokolwiek się wydarzy. Jeżeli to jest ta chwila, która jest dla nas łatwa, która jest dla nas radosna, to pierwszym naszym odruchem powinno być: dziękuję Ci, Panie. I dziękuję Ci, Panie, wtedy, kiedy jest trudno, czyli kiedy przychodzi „trudne zadanie". To jest też radość, kiedy ja rozumiem, że to jest „zadanie", i wiem, że to nie jest nieszczęście, choćby nawet zdarzyło się coś, co w oczach ludzi będzie się wydawało nieszczęściem. Nieszczęście jest jedno. W ogóle jest jedno: jeżeli się odwrócimy od Boga.

O modlitwie „niewysłuchanej”

W ogrodzie oliwnym

Zastanawiałam się, od czego by należało zacząć. Wydaje mi się, że przede wszystkim warto zaczynać od samego Jezusa. Wydawałoby się przecież, że to właśnie Jego modlitwa – ta w Ogrójcu – zostaje niewysłuchana. Nie będziemy tutaj czytać wszystkich tekstów dotyczących tej modlitwy, tak jak piszą o tym trzej nasi synoptycy (Mateusz, Marek i Łukasz). Pozwolę sobie jedynie zacytować obraz z Ewangelii świętego Marka. Dlatego wybieram Marka, że tylko Marek daje tutaj to aramejskie słowo, jakim Jezus zwracał się do swojego Ojca.

Wchodząc do ogrodu Getsemani, Jezus żegna się, zostawia swoich uczniów i zabiera ze sobą tylko tych trzech wybranych – Piotra, Jakuba i Jana. Dalej Marek pisze: (...) *począł drżeć i odczuwać trwogę. I rzekł do nich: „Smutna jest moja dusza aż do śmierci; zostańcie tu i czuwajcie!”. I odszedłszy nieco dalej, upadł na ziemię i modlił się,*

żeby – jeśli to możliwe – ominęła Go ta godzina. I mówił: „Abba, Ojcze…” (Mk 14,33-36). Abba to jest aramejskie „ojcze”. Właściwie jest bardziej pieszczotliwe niż „ojcze”, ale trochę surowsze niż nasz „tatuś”. Tego słowa jeszcze dzisiaj używają dzieci zwracające się do swojego ojca. Siostra Kinga Strzelecka wspominała, jak będąc w Izraelu, przyszła do domu swoich przyjaciół. Gospodarza jeszcze nie było, a kiedy przyszedł, jego córeczka rzuciła mu się na szyję z wołaniem „Abba!”. I ona to niesłychanie żywo odczuła. Że to „Abba” jest wciąż jeszcze żywe. *I mówił: „Abba, Ojcze, dla Ciebie wszystko jest możliwe, zabierz ten kielich ode Mnie! Lecz nie to, co Ja chcę, ale to, co Ty!”. Potem wrócił i zastał ich śpiących.* (…) *Odszedł znowu i modlił się, powtarzając te same słowa* (Mk 14,36-37a.39). A my mamy wrażenie, że ta modlitwa nie została wysłuchana…

W tym momencie warto na chwilę przejść do Ewangelii świętego Jana, gdzie nie ma modlitwy w Ogrójcu, ale jest coś innego. W rozdziale dwunastym do Jezusa przychodzą uczniowie i mówią: poganie chcą Cię widzieć. A Jezus w odpowiedzi mówi coś, co jest pozornie zupełnie nie na temat: *Nadeszła godzina, aby został uwielbiony Syn Człowieczy* (J 12,23). Inaczej mówiąc – aby Syn Człowieczy przyszedł w chwale Ojca; aby Syn Człowieczy został wprowadzony w chwałę. To jest bardzo charakterystyczny sposób, w jaki święty Jan w całej swojej Ewangelii mówi o śmierci Jezusa (przynajmniej do momentu, kiedy dojdzie do Męki, bo samą Mękę opisuje podobnie jak pozostali). Cały czas mówi o „godzinie”. O „godzinie”, która jeszcze nie nadeszła, albo która już nadeszła. I tutaj jest właśnie ten moment, kiedy Jezus – słysząc, że poganie chcą Go widzieć – poznaje, że to znak dany Mu od Ojca. Bo On wie, że Jego nauka dotrze do pogan tylko przez Jego śmierć. Widzi tych

pogan, którzy Go szukają, i to jest dla Niego znakiem, że nadeszła godzina, kiedy Syn Człowieczy zostanie uwielbiony – czyli wywyższony na krzyżu i wywyższony w chwale. *Nadeszła godzina, aby został wprowadzony w chwałę Syn Człowieczy. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeśli ziarno pszeniczne wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie samo jedno, jeśli obumrze, przyniesie plon obfity* (J 12,23-24). Tu Jezus mówi o sobie! Dopiero później przenosi te słowa także na swoich uczniów i na nas wszystkich: *Kto chciałby Mi służyć, niech idzie za Mną. A gdzie Ja jestem, tam będzie i mój sługa. A jeśli ktoś Mi służy, uczci go Ojciec mój* (J 12,26).

I teraz mamy słowa, które niektórzy nazywają „Getsemani świętego Jana". Tak naprawdę to nie jest Getsemani; to się odbywa może gdzieś na dziedzińcu Świątyni. *Teraz dusza Moja doznała lęku* – mówi Jezus – *i cóż mam powiedzieć? Ojcze, wybaw Mnie od tej godziny. Nie, właśnie dlatego przyszedłem na tę godzinę* (J 12,27). Tu już Jezus sam daje odpowiedź. I zaraz potem mówi: *Ojcze, wsław Twoje imię* (J 12,28). Czyli – Ojcze, uwielbij imię Twoje; uświęć imię Twoje. Ten sam sens mają słowa, które codziennie powtarzamy w *Ojcze nasz*: „święć się imię Twoje".

Ja muszę powiedzieć, że zrozumiałam te słowa Jezusowe „święć się imię Twoje" w roku 1953. W ten dzień wrześniowy, kiedy byłam rano na Mszy w kościele, podeszła do mnie pewna pani i powiedziała: „Dzisiaj aresztowano Księdza Prymasa". I ja się wtedy strasznie modliłam za niego. Myślałam: „Nie. Niemożliwe. Nic nie może mu się stać". I raptem zrozumiałam, że Jezus by mi powiedział to samo, co powiedział Piotrowi. Był taki moment, kiedy Piotr chciał Go przekonać, żeby nie miał takich czarnych myśli i żeby nie przewidywał własnej śmierci. A Jezus mu

odpowiedział: *Zejdź Mi z oczu, szatanie! Jesteś Mi zawadą, bo myślisz nie na sposób Boży, lecz na ludzki* (Mt 16,23). Ale jak można się wobec tego modlić, kiedy nie mogę się modlić ani o to, żeby Prymas został uwolniony, ani... I wtedy zrozumiałam sens tej modlitwy – „Uwielbij imię Twoje". To znaczy: niech się Twoje imię święci, niech będzie głoszone. Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie, niech to się stanie na chwałę Twojego imienia. I to jest, że tak powiem, odpowiedź Jezusa.

„Nie mają wina..."

W późnym stosunkowo tekście, to znaczy w Liście do Hebrajczyków (który nie jest listem pisanym przez świętego Pawła, tylko przez któregoś z jego uczniów), mamy takie trochę dziwne i niezrozumiałe dla nas słowa: *Z głośnym wołaniem i płaczem za dni ciała swego zanosił On gorące prośby i błagania do Tego, który mógł Go wybawić od śmierci, i został wysłuchany dzięki swej uległości* (Hbr 5,7). Został wysłuchany. Ale nie w taki sposób, w jaki my byśmy sobie to wysłuchanie wyobrażali. I tutaj jest coś, na co warto zwrócić uwagę. Bardzo często nam się wydaje, że modlimy się, modlimy – a nic z tego nie wychodzi. I trzeba się wtedy zastanowić. Bo może my po prostu nie widzimy tego, że jesteśmy wysłuchani. Tylko w inny sposób, niż można się było spodziewać. I tutaj chciałam Państwu wskazać drogę, a właściwie ułatwić tę drogę. Nauczmy się tego od Maryi. Zróbmy spacer do Kany Galilejskiej.

Jesteśmy na weselu. Mało tego, jesteśmy w momencie, kiedy Jezus nie rozpoczął jeszcze swojej publicznej działalności. To jest

Ewangelia według świętego Jana, początek drugiego rozdziału: *Trzeciego dnia odbywało się wesele w Kanie Galilejskiej i była tam Matka Jezusa. Zaproszono na to wesele także Jezusa i Jego uczniów. A kiedy zabrakło wina, Matka Jezusa mówi do Niego: „Nie mają wina”* (J 2,1-3). Tu jest pierwsza nauka. To jest forma prośby. Maryja przychodzi do Jezusa i nie mówi Mu „zrób coś!” czy nawet „zamień wodę w wino”. Jej to nawet – jak przypuszczam – w tym momencie nie przyszło do głowy. Ona tylko przychodzi do Niego i przedstawia sytuację: „No słuchaj, jest dzień ich wesela, ich radości, a tu taka sprawa”. Ta sprawa sama w sobie nie jest znów taka tragiczna, tylko kłopotliwa. Może nawet nie jest aż tak ważna. Ale ważna jest sprawa jej prośby i odpowiedzi Jezusa. Bo Jezus odpowiedział: *Czyż to Moja lub twoja sprawa, niewiasto? Jeszcze nie nadeszła godzina Moja* (J 2,4). Niektórzy to tłumaczą: *[Czyż] jeszcze nie nadeszła godzina Moja?* Ja czytam ten tekst po grecku, a w języku greckim nie ma znaków przestankowych, a w każdym razie nie ma pytajnika. Zarówno zdanie pytające, jak i zdanie twierdzące wyglądałoby w tym przypadku zupełnie tak samo. Ale wybieram tę wersję, bo przez dwanaście rozdziałów Ewangelii Jana najczęściej określany tym słowem „godzina” będzie dopiero moment śmierci Jezusa. Natomiast zwrot „czyż to moja lub twoja sprawa” w oryginale brzmi trochę ostrzej. To dosłownie po grecku – „co tobie i Mnie” czyli „a co tobie do tego”. To nie jest greckie powiedzenie; to jest powiedzenie aramejskie i hebrajskie, które pojawia się jeszcze kilkakrotnie w Ewangelii i za każdym razem jest bardzo ostrą odmową. Maryja nawet nie prosi. Stwierdza tylko fakt, przynosi do Syna sytuację, stawia Mu ją przed oczy. I zostaje przez Niego odsunięta niejako. *Jeszcze nie*

nadeszła Moja godzina – jeszcze nie ma tego momentu; jak gdyby Jezus nie chciał zacząć tej drogi, która Go zaprowadzi na krzyż. Ale to było dla niej odtrącenie. Bez względu na to, jak to będziemy tłumaczyć, to było odtrącenie.

Zdawałoby się, że matka, którą syn w ten sposób odprawił, mogłaby się obrazić... Ale wiadomo, że matki rzadko się obrażają na swoje dzieci (nawet nie takie cudowne matki i nie na takie cudowne dzieci), więc może ta reakcja Maryi nas jeszcze tak bardzo nie dziwi. Dziwi jednak to, co ona zrobiła potem. *Wtedy Matka Jego powiedziała do sług: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie"* (J 2,5). Ona nie wie, co Jezus zrobi. Ona nawet nie wie, czy Jezus coś zrobi. Ale ona wierzy, mimo tego odtrącenia... I powstaje pytanie: po pierwsze, dlaczego Jezus tak ostro potraktował swoją Matkę, która nawet nie przychodziła z prośbą, tylko z taką niewinną uwagą, a po drugie, jak to się stało, że Maryja tak odczytała tę ostrą odpowiedź? Więc wydaje mi się (nie, to nie ja to wymyśliłam, ale w tej chwili nie pamiętam kto), że fakt, iż nazwał Maryję Niewiastą, naprowadza nas na ślad krzyża. Przez to wszystko prześwituje już krzyż. Ale chodzi nie tylko o to. Wiadomo, że Jezus nie zaczął jeszcze swojej działalności publicznej. Tu jest takie spotkanie towarzyskie, wesele, i Maryja przystępuje do Jezusa jako Matka. Przychodzi do Niego jako ta ludzka matka (powiedzmy, że nawet ta matka, która nie mogłaby oczekiwać cudu od swojego syna, mogłaby przyjść do niego i powiedzieć: „No wiesz, może coś można zrobić, żeby tym ludziom pomóc"), a Jezus po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu trochę ją odsuwa. To znaczy On chce jej powiedzieć: „Słuchaj, od tego momentu nasz stosunek będzie już inny; to już nie jest tak, jak dotychczas było". Bo przecież Jezus –

biorąc tylko Jego lata dorosłe, czyli gdzieś od dwunastego czy czternastego roku życia – przez te kilkanaście lat jest ciągle z Matką. Nie wiemy, kiedy Józef umarł, ale niewątpliwie nie ma go już wśród żywych, i Jezus z Matką muszą być bardzo zżyci. Oczywiście, ona jest niepokalana, ona jest święta, ale ona jest matką. I ona całym sercem przylgnęła do tego swojego cudownego Syna. To jest bolesne na pewno – te słowa, które Ona tu usłyszała – ale to jest takie stawianie jej na właściwy tor. I potem jeszcze niejednokrotnie ona usłyszy coś takiego. Jest na przykład taki moment, kiedy Jezus z uczniami są tak zajęci, że nie mają nawet czasu na zjedzenie kawałka chleba. I wtedy przychodzi Maryja razem z Jego krewnymi, żeby Go powstrzymać. Żeby powstrzymać Go od tego szaleństwa; żeby On też znalazł trochę czasu dla siebie. Tak jak każda matka. I wtedy Jezus, który w ogóle nie chciał do nich wyjść, mówi: *Moją matką i moimi braćmi są ci, którzy słuchają słowa Bożego i wypełniają je* (Łk 8,21).

Ktoś bardzo pięknie powiedział, że Maryja była zmuszana do sięgania ciągle ponad swoją głowę. Ona – ta, która nam się wydaje nie do naśladowania, bo jest niepokalana – jest do naśladowania w tym jednym: że Bóg jej ciągle podnosił poprzeczkę. Prawie od początku. Bo już dwunastoletni Jezus w Świątyni na słowa *Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie* (Łk 2,48) odpowiada: *Czemuście Mnie szukali? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?* (Łk 2,49). Czyli odrzuca ojcostwo Józefa w tym momencie. I jest powiedziane wyraźnie u świętego Łukasza, że oni nie rozumieli tego, co On mówił. Tylko potem jest zaraz powiedziane, że Maryja te wszystkie słowa przechowywała w swoim sercu. I starała się je zrozumieć. I tu Jezus wskazuje

Matce – ale i nam w pewnym sensie – że pójście za Nim nie jest takie proste. No, może jest proste... Tylko nie jest łatwe.

I tutaj te słowa Maryi – „wina nie mają" – to jest modlitwa. Ja to zrozumiałam (właściwie – „przeżyłam") w czasie bardzo ciężkiej choroby mojej matki. Ta choroba skończyła się jej powrotem do zdrowia, ale to był taki okres (zawał serca, zawał płuca), kiedy przez trzy tygodnie była między życiem i śmiercią. W nocy, gdy się budziła, jedyna rzecz, którą mogłam zrobić, żeby jej pomóc, to podłożyć ręce pod jej plecy i lekko ją unieść. To mi było wolno zrobić. I dla mnie ten gest rąk łączył się jakoś ze słowami Maryi „wina nie mają". Ja nic nie mówiłam. Jeśli prosiłam, to tylko o to, żeby Bóg zrobił to, co jest dla mojej matki najlepsze. Ale to nie była prośba, którą wypowiadałam. To był tylko ten gest. Skojarzył mi się potem z modlitwą do tego stopnia, że kiedy czytam Ewangelię dzisiaj, ręce same układają mi się w taki sposób jak wtedy, gdy podnosiłam moją matkę.

Ten gest Maryi, ta prośba za tamtych ludzi (którym się niby nic złego nie dzieje, ale... oni wina nie mają i im jest przykro) to jednocześnie taka kapitalna delikatność i absolutne zaufanie: *Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie* (J 2,5). Choćby wam... no właśnie. Jezus mówi wtedy do sług weselnych: *Napełnijcie stągwie wodą!* (J 2,7). I potem: *Zaczerpnijcie teraz i zanieście staroście weselnemu!* (J 2,8) To znaczy, że oni mają zrobić coś bez sensu! Bo najpierw nalewają wodę, a potem mają tę wodę zanieść. Ten starosta weselny może im nawymyślać! Zrobili rzecz bez sensu, ale zrobili na polecenie. Ciekawe, czy się nawrócili. Ale oni chyba jeszcze nie wiedzieli, na co się nawracać. Na pewno jednak

wiedzieli, że nalewali wodę i że woda zamieniła się w wino. Takiej rzeczy nie dało się ukryć.

Szczenięta pod stołem...

Inna historia modlitwy, pozornie też niewysłuchanej, to historia kobiety, która u Mateusza jest nazywana Kananejką, a u Marka bardzo dziwnie, bo jest nazwana Greczynką (dosłownie – Hellenką), a zarazem Syrofenicjanką. Na nasze odczucie jedno zaprzecza drugiemu: skoro jest Greczynką, to nie może być Syrofenicjanką. Jednak rzecz polega na tym, że wtedy „Greczynka" („Hellenka") znaczyła tyle co po prostu poganka. Ona jest poganką, czyli nie jest żydówką. I jest pochodzenia syrofenickiego. Również Kananejczycy to po prostu poganie. A zatem o tej pogance mamy tutaj dwa opowiadania – Mt 15,21-28 i Mk 7,27-30 – i właściwie oba są do siebie podobne. Ja wybieram Mateusza.

Potem Jezus odszedł stamtąd i podążył w stronę Tyru i Sydonu. A oto kobieta kananejska, wyszedłszy z tamtych okolic, wołała: „Ulituj się nade mną, Panie, Synu Dawida! – tu już jest wyznanie wiary, skoro mówi „Synu Dawida"; musiała więc słyszeć coś na temat Mesjasza – *Moja córka jest ciężko dręczona przez złego ducha". Lecz On nie odezwał się do niej ani słowem*. Czasem my tak się modlimy: o coś prosimy, wołamy... I nic. Nic się nie dzieje. Dobrze, jak to trwa krótko, ale czasem taka modlitwa może się ciągnąć latami... *Na to podeszli Jego uczniowie i prosili Go: „Odpraw ją, bo krzyczy za nami!". Lecz On odpowiedział: „Jestem posłany tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela".* To już jest bardzo dziwne. Ale fakt jest jeden i Jezus to będzie podkreślał parę razy: On sam

jest posłany do Izraela. Gdy tamci poganie z dwunastego rozdziału świętego Jana przychodzą, żeby się spotkać z Jezusem i usłyszeć Jego naukę, to jest dla Niego znak. Bo Jezus już wie, że Jego nauka przejdzie do nich, owszem, ale dopiero przez Jego śmierć. On przecież powie uczniom na końcu Mateusza – *nauczajcie wszystkie narody* (Mt 28,29), a właściwie nawet dosłownie: „czyńcie sobie uczniów spośród wszystkich narodów". Tak że to się stanie przez Niego. Ale w tej chwili On jeszcze nie może działać poza domem Izraela...

A ona przyszła, upadła przed Nim i prosiła: „Panie, dopomóż mi!". On jednak odparł: „Niedobrze jest zabrać chleb dzieciom, a rzucić szczeniętom". Z tymi szczeniętami to jest bardzo śmieszna rzecz. Nie dziwcie się, że w niektórych wydaniach Biblii Tysiąclecia będzie tutaj *niedobrze jest zabierać chleb dzieciom, a rzucać psom*. Tak jest w Wulgacie: w jej ustach były szczenięta, a w ustach Jezusa – psy. Przyznaję, że te „szczenięta" to ja wynalazłam. To znaczy zauważyłam, że w greckim tekście Ewangelii jest dwa razy to samo słowo: używa go Jezus, a potem ona je wykorzysta. Jezus mówi: *Niedobrze jest zabierać chleb dzieciom, a rzucać szczeniętom. A ona odrzekła: „Tak, Panie, lecz i szczenięta jedzą okruchy, które spadają ze stołu ich panów".* To nie jest tylko kwestia Wulgaty, to jest kwestia logiki. Dlatego, że żydzi z zasady nie trzymali psów w domu. Pies nie był zwierzęciem domowym, był zwierzęciem użytkowym. To znaczy były psy pasterskie, były psy, które pilnowały domu, ale to nie były psy, które jako psy dorosłe przebywały w domu. Zresztą potem ojciec Augustyn sam powiedział: „No rzeczywiście, pod stołem w domu mogły być tylko szczeniaki". Jedyna księga, w której pies towarzyszy człowiekowi

w podroży, to jest Księga Tobiasza, ale to księga z końca III lub nawet z II wieku przed Chrystusem, kiedy tamtejszy świat był bardzo zhellenizowany (to jest właśnie dowód tej hellenizacji). Ale to jest bardzo charakterystyczne: *Ona odrzekła: „Lecz i szczenięta jedzą okruchy, które spadają ze stołu ich panów". Wtedy Jezus jej odpowiedział: „O niewiasto wielka jest twoja wiara; niech ci się stanie, jak chcesz!". Od tej chwili jej córka była zdrowa.*

Ona się nie obraziła na Jezusa – ona podjęła to porównanie i ona się zgadza być tym szczeniątkiem pod stołem i akceptuje to w pełni. Oczywiście Jezus chwali tu jej posłuszną wiarę, ale mnie się zdaje, że poza wszystkim to jest poczucie humoru... Poczucie humoru i Jezusa, i tej kobiety.

Zamknięte drzwi

Żył pewien człowiek bogaty, który ubierał się w purpurę i bisior i dzień w dzień świetnie się bawił. U bramy jego pałacu leżał żebrak okryty wrzodami, imieniem Łazarz. Pragnął on nasycić się odpadkami ze stołu bogacza; nadto i psy przychodziły i lizały jego wrzody. Umarł żebrak, i aniołowie zanieśli go na łono Abrahama. Umarł także bogacz i został pogrzebany. Gdy w Otchłani, pogrążony w mękach, podniósł oczy, ujrzał z daleka Abrahama i Łazarza na jego łonie. I zawołał: „Ojcze Abrahamie, ulituj się nade mną i poślij Łazarza; niech koniec swego palca umoczy w wodzie i ochłodzi mój język, bo strasznie cierpię w tym płomieniu". Lecz Abraham odrzekł: „Wspomnij, synu, że za życia otrzymałeś swoje dobra, a Łazarz przeciwnie, niedole; teraz on tu doznaje pociechy, a ty męki cierpisz. A prócz tego między nami a wami zionie ogromna przepaść, tak że

nikt, choćby chciał, stąd do was przejść nie może ani stamtąd do nas się przedostać". Tamten rzekł: „Proszę cię więc, ojcze, poślij go do domu mojego ojca! Mam bowiem pięciu braci: niech ich przestrzeże, żeby i oni nie przyszli na to miejsce męki". Lecz Abraham odparł: „Mają Mojżesza i Proroków, niechże ich słuchają!". „Nie, ojcze Abrahamie – odrzekł tamten – lecz gdyby kto z umarłych poszedł do nich, to się nawrócą". Odpowiedział mu: „Jeśli Mojżesza i Proroków nie słuchają, to choćby kto z umarłych powstał, nie uwierzą" (Łk 16,19-31).

Z tym bogaczem nie wiadomo, co się stanie. To nie jest jeszcze piekło – to jest opowiedziane w sposób ludowy, tak samo jak to, że bez względu na zasługi tego żebraka Abraham na pewno nie trzymał go na swoim łonie. Tutaj jest podkreślone jedno: nie ma kontaktu. Ale co to znaczy, że nie ma kontaktu? Bogacz chciałby się kimś posłużyć, bo on sam nie może. Proponuje więc, żeby ktoś ze zbawionych poszedł do jego braci – i wtedy oni by się nawrócili. Ale Abraham mu odpowiada – jeżeli mają proroków i Mojżesza i ich nie słuchają, to choćby ktoś z umarłych powstał, też nie uwierzą. Przypomina mi się książka angielskiego autora katolickiego, Bruce'a Marshalla (on pisał z niesłychanym humorem!) pod tytułem *Cud ojca Malachiasza*. Tam jest historia pewnego biednego mnicha angielskiego, ojca Malachiasza, który – ponieważ wierzył – dokonał cudu. Nie wiem, czy w Edynburgu, czy w jakimś innym szkockim mieście, w każdym razie dokonał cudu zupełnie namacalnego: przeniósł swoim słowem budynek. Zgodnie ze słowami Jezusa, że jeżeli ktoś ma wiarę jak ziarnko gorczycy i powie tej górze „przenieś się", to ona się przeniesie. To nie był dom publiczny, tam odbywały się koncerty czy coś takiego, ale stał

naprzeciwko kościoła. I on to przeniósł. Jaki jest skutek? Najlepiej to wyraża rozmowa dwóch protestantek, Szkotek, które chodzą po tym miejscu, gdzie ten budynek stał i go nie ma, i jedna mówi do drugiej: „Moja kochana. Ci katolicy to nie mają racji. A choćby nawet dowiedli, że mają rację, to i tak nie mają racji". I na końcu tej całej historii przychodzi polecenie ze Stolicy Apostolskiej, żeby on z powrotem przeniósł ten budynek – bo ten jego cud wywołuje tylko zgorszenie i rozdrażnienie, a nie wprowadza pokoju...

Jan pisze: *Jeśli ktoś spostrzeże, że brat popełnia grzech, który nie sprowadza śmierci, niech się modli, a przywróci mu życie, mam na myśli tych, których grzech nie sprowadza śmierci. Istnieje taki grzech, który sprowadza śmierć. W takim wypadku nie polecam, aby się modlono* (1 J 5,16). Tu nie chodziło o zakaz modlitwy za kogokolwiek. Jan stwierdza: nie mówię, żeby się modlono za nich, czyli nie o nich tu mówię. Nie o tych, których grzech sprowadza śmierć. Ale co to znaczy? Odsyłam do Mateusza: *każdy grzech i bluźnierstwo będą odpuszczone ludziom, ale bluźnierstwo przeciwko Duchowi nie będzie odpuszczone* (Mt 12,31). Wcześniej faryzeusze oskarżają Jezusa, że mocą Belzebuba wyrzuca złe duchy – otóż to jest ten grzech, który nie może być odpuszczony. Dlaczego? Dlatego, że tu nie ma kontaktu z Bogiem. Oni twierdzą, że to, co tak naprawdę idzie od Boga, idzie od złego ducha. Oskarżają bardzo głupio jak na faryzeuszy, bo przecież są dobrze przygotowani. Ale kiedy ktoś zamyka się na Boga w ten sposób, że mówi, że pochodzi od złego ducha to, co pochodzi od Niego, to po prostu Bóg nie ma do niego dostępu.

„Proście, a będzie wam dane”

Święta „bezczelność”

W słowach Jezusa *proście a będzie wam dane, szukajcie a znajdziecie* (Łk 11,9) jest nacisk na to, żeby nie rezygnować. Zaraz po *Ojcze nasz* u Łukasza jest przypowieść o człowieku, który idzie do swojego przyjaciela w nocy, budzi go i mówi, że właśnie ma gości, a nie ma chleba.

Ktoś z was, mając przyjaciela, pójdzie do niego o północy i powie mu: „Przyjacielu, użycz mi trzy chleby, bo mój przyjaciel przyszedł do mnie z drogi, a nie mam co mu podać. Lecz tamten odpowie z wewnątrz: „Nie naprzykrzaj mi się! Drzwi są już zamknięte i moje dzieci leżą ze mną w łóżku. Nie mogę wstać i dać tobie”. Mówię wam: Chociażby nie wstał i nie dał z tego powodu, że jest jego przyjacielem, to z powodu jego natręctwa wstanie i da mu, ile potrzebuje (Łk 11,5-8). Gdy tamten się wykręca, że nie może wyjść i dać mu tego chleba, bo leży w łożu i dzieci są z nim razem – to jest wymówka,

bo te dzieci już i tak się obudziły od głośnej rozmowy obydwu panów! Tłumacze Biblii Tysiąclecia mają jedną cechę – starają się być niesłychanie delikatni. I tutaj jest powiedziane, że jeżeliby ten przyjaciel nie wyszedł dlatego, że jest jego przyjacielem, to dla jego natręctwa wyjdzie. Ale w oryginale greckim jest troszkę mocniej – dla jego „bezczelności". Słowo greckie dokładniej przetłumaczone to „bezczelność". Wręcz bezczelność. To jest zachęta, żebyśmy się nigdy nie lękali, że prosimy o coś za bardzo natarczywie – tak za bardzo „bezczelnie". Chodzi o to, żebyśmy nie mieli strachu przed tym naleganiem.

Jest jeszcze druga taka sama przypowieść, jeszcze trudniej dla nas brzmiąca (zob. Łk 18,1-8). To jest ta historia o złym sędzim, którego nachodziła biedna wdowa. Bardzo chciała, żeby ów sędzia coś dla niej załatwił, więc ciągle do niego przychodziła i zawracała mu głowę (przynajmniej on to tak odbierał), a on w ogóle nie chciał z nią mówić. W końcu jednak powiedział: „Trudno! Ona mi zawraca głowę, ona mnie zamęczy, więc ja już to dla niej załatwię". I po tej przypowieści Jezus dodaje: czy wy myślicie, że Ojciec niebieski nie uczyni wszystkiego dla was, jeśli będziecie mocno prosić?

A co jeśli prosimy o coś, co nam się wydaje dobre, a Bóg wie, że to nie obróci się na naszą korzyść? U Mateusza jest taki fragment: *Gdy którego z was syn prosi o chleb, czy jest taki, który poda mu kamień? Albo gdy prosi o rybę, czy poda mu węża? Jeśli więc wy, choć źli jesteście, umiecie dawać dobre dary swoim dzieciom, o ileż bardziej Ojciec wasz, który jest w niebie, da to, co dobre, tym, którzy Go proszą* (Mt 7,9-11). W tym porównaniu do ojców jest jedna rzecz bardzo charakterystyczna. Jezus mówi: jesteście tylko ludźmi, więc nie jesteście specjalnie dobrzy, ale umiecie dawać to, co dobre (po

grecku nie ma tu nawet słowa „dary”, tylko samo „dobre”) swoim dzieciom. Ale nie jest powiedziane, że ojciec lub sam Bóg da swojemu dziecku akurat to, o co ono prosi. Tylko da dobro. W wersji Mateusza Bóg da nam dobro, a u Łukasza w tym miejscu jest powiedziane, że da nam Ducha Świętego (zob. Łk 11,13). Bóg nie może nam dać czegoś, co zaszkodzi mnie albo komuś innemu. Nie dlatego, że ja się modlę o rzecz złą. Mogę się modlić o coś, co w moim mniemaniu jest rzeczą bardzo dobrą, ale On wie lepiej. A czy wobec tego, warto modlić się o cokolwiek innego niż tylko Duch Święty? Zawsze warto. A nuż...

Czasami są chwile, gdy człowiek ma poczucie, że lepiej Boga nie prosić o nic konkretnego, bo On lepiej wie, niż ja wiem. I to jest zresztą prawda. Może być taka sytuacja, w której właściwie tylko tyle Panu Bogu można powiedzieć. Jak w czasie tej choroby mojej matki, kiedy się modliłam, żeby Bóg zrobił to, co dla niej będzie najlepsze. I zrobił tak. Zrobił, bo matka żyła jeszcze potem i wiem, że to było dla niej najlepsze. Ale mnie się zdaje, że czasem niepowiedzenie Bogu wprost, czego pragniemy, to może być też postawa nie tylko absolutnej ufności, ale też odrobiny pychy. I wtedy to nie jest dobrze.

Czy można ukraść cud?

Opowiadanie o kobiecie chorej na krwotok mamy u Mateusza, Marka i Łukasza – u każdego z troszkę innym odcieniem. Najlepiej zacząć od Marka, bo on robi bardzo ciekawą rzecz, nawet z punktu widzenia literackiego: mianowicie wplata jeden cud w drugi. U Mateusza jest zupełnie oddzielony cud wskrzeszenia małej

córeczki Jaira i ten cud, którego dozna właśnie ta kobieta. Natomiast u Marka my najbardziej „uczestniczymy" w tym cudzie – dzięki sztuce literackiej Marka i dzięki temu, że jest to echo słów Piotra. Bo według bardzo wczesnej tradycji chrześcijańskiej Marek spisywał to, czego nauczał Piotr. I niewątpliwie Marek jest jedynym Ewangelistą, który mówi o nastrojach Jezusa: czy Jezus spojrzał na kogoś z gniewem, czy z miłością. U żadnego innego Ewangelisty tego nie ma.

Gdy Jezus przeprawił się z powrotem w łodzi na drugi brzeg, zebrał się wielki tłum wokół Niego, a On był jeszcze nad jeziorem. Wtedy przyszedł jeden z przełożonych synagogi, imieniem Jair. Gdy Go ujrzał, upadł Mu do nóg i prosił usilnie: „Moja córeczka dogorywa, przyjdź i połóż na nią ręce, aby ocalała i żyła". Poszedł więc z nim, a wielki tłum szedł za Nim i zewsząd na Niego napierał (Mk 5,21-24). Musimy sobie uświadomić, że rzecz się dzieje w Palestynie. Mamy tutaj tłum (na pewno bardzo hałaśliwy i bardzo tłoczny), który idzie z Jezusem, który się pcha na Niego w pewnym sensie... *A pewna kobieta od dwunastu lat cierpiała na upływ krwi. Wiele przecierpiała od różnych lekarzy i całe swe mienie wydała, a nic jej nie pomogło, lecz miała się jeszcze gorzej. Słyszała ona o Jezusie, więc przyszła od tyłu, między tłumem, i dotknęła się Jego płaszcza. Mówiła bowiem: „Żebym się choć Jego płaszcza dotknęła, a będę zdrowa". Zaraz też ustał jej krwotok i poczuła w ciele, że jest uzdrowiona z dolegliwości* (Mk 5,25-29).

My nie zdajemy sobie sprawy, na jaką odwagę zdobyła się ta kobieta. Nie tylko dlatego, że ona podchodzi do Jezusa. Ze względu na rodzaj swojej choroby ona była w stanie stałej rytualnej nieczystości i kogokolwiek się dotknęła, przez samo zetknięcie

z nią stawał się automatycznie tak samo nieczysty. Wobec tego ona nie miała prawa wchodzić w ten tłum! A ona się w ten tłum wdarła. Zdobyła się na to bohaterstwo i można by powiedzieć, że ona to robi zgodnie z tymi słowami z 11 rozdziału Ewangelii Łukasza (które może nie zostały jeszcze wtedy wypowiedziane). Tam jest ta krótka przypowieść o przyjacielu, który idzie do drugiego przyjaciela w nocy i stojąc pod jego domem, budzi go, bo przyszedł ktoś do niego, a on nie ma chleba. Tamten się broni, że leży w łóżku, że dzieci są z nim i nie może teraz wyjść... Ten, co przyszedł po chleb, jest jednak tak uparty – dosłownie tak „bezczelny"! – że w końcu dostaje ten chleb. I ta kobieta też jest „bezczelna" w tym wypadku. Ona pcha się – wbrew wszelkim przepisom rytualnym! – i czuje, że jest uleczona.

A Jezus natychmiast uświadomił sobie, że moc wyszła od Niego. Obrócił się w tłumie i zapytał: „Kto się dotknął mojego płaszcza?". Odpowiedzieli Mu uczniowie: „Widzisz, że tłum zewsząd Cię ściska, a pytasz: Kto się Mnie dotknął". On jednak rozglądał się, by ujrzeć tę, która to uczyniła. Wtedy kobieta przyszła zalękniona i drżąca, gdyż wiedziała, co się z nią stało, upadła przed Nim i wyznała Mu całą prawdę. On zaś rzekł do niej: „Córko, twoja wiara cię ocaliła, idź w pokoju i bądź uzdrowiona ze swej dolegliwości!" (Mk 21-34). No, uczniowie byli bardziej realistyczni. Musimy sobie uświadomić, że to rzeczywiście tłum naciskał na Jezusa, a On mówi: kto Mnie dotknął? No wszyscy Go dotykali! Ale On wiedział, o co chodzi. Teraz można by się zastanawiać, dlaczego Jezus nie dał jej spokoju. Ona jest już uleczona, a Jezus wyciąga ją z tłumu, zmusza ją do tego, żeby ona stanęła przed Nim. Czy robi to dla nas? Nie tylko. Robi to dla niej samej. Po prostu nie można cudu ukraść – to byłaby

magia. To po pierwsze, ale jest jeszcze jedno. Chodzi o to, że ten, który prosi (czyli czegoś potrzebuje, czegoś oczekuje od Jezusa), musi się na Niego otworzyć. Na to, żeby mógł czegoś z nami i w nas dokonać – my musimy otworzyć się na Niego. Bo On będzie chodził za nami, ale będzie czekał na to nasze otwarcie. I tu jest przykład modlitwy – nawet niekoniecznie słownej. Ona przecież podeszła z tyłu do Jezusa i nie ma tu mowy o jej słowach. Jezus wiedział, co się dokonało w niej. Ale ona musiała – twarzą w twarz – stanąć wobec Jezusa. Nie na darmo wielki prorok Eliasz (IX w.) mówił o sobie, że on jest tym, który stoi przed obliczem Boga.

Co do bezczelności, to zależy oczywiście, co przez to rozumiemy. Przypuszczam, że dlatego tłumacze Biblii Tysiąclecia użyli tej formy „natręctwo", bo to trochę grzeczniej. Ale my wyobrażamy sobie Boga jako takiego Pana bardzo godnego – tak godnego, że ja nie mogę Mu zawracać głowy jakimiś moimi sprawami – a zapominamy o tym, że Bóg nie może nic zrobić, jeżeli ja Mu na to nie pozwolę, jeżeli nie zwrócę się do Niego. Jeżeli ja się o coś dopominam, jeżeli nie dostaję tej odpowiedzi bezpośrednio, proszę o coś i to się nie dzieje, to wcale nie znaczy, że mam przestać prosić. Jezus mówi u Mateusza: *Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam* (Mt 7,7), ale te same słowa Jezusa zakładają konieczność dłuższego dopominania się. Ktoś może powiedzieć: „No, jak Pan Bóg mnie nie słucha, to ja nie będę Mu zawracał głowy!". Tu nie ma takiego problemu. On jest zawsze otwarty na nas.

Królestwo Boże

W Nowym Testamencie mamy nie tylko słowa Jezusa. Jezus przychodzi, żeby głosić Królestwo Boże i to Królestwo musi się w jakiś sposób objawiać. Ktoś powiedział, nie pamiętam już kto: dawniej to się mówiło, że cuda Jezusa są dowodem Jego bóstwa, a nam dzisiaj byłoby łatwiej wierzyć w bóstwo Jezusa, gdyby tych cudów nie było... Ale faktem jest, że cuda towarzyszą Mu zawsze, w trakcie całej Jego działalności. Kiedy Piotr mówi do pogan o swoim Mistrzu: *Dlatego że Bóg był z Nim, przeszedł On dobrze czyniąc i uzdrawiając wszystkich, którzy byli pod władzą diabła* (Dz 10,38), mówi właśnie o tych cudach.

Jeżeli chodzi o opętanych, to fakt, że tych opętanych jest tak dużo wokół Jezusa, nie powinien nas dziwić. To jest tak jak z niektórymi maściami, które mają uleczyć jakieś nasze skórne schorzenia: na tej kartce dołączonej do leku jest powiedziane, że po pierwszym przyłożeniu lekarstwa występuje zaognienie. I to jest właśnie charakterystyczne. Że tam, gdzie jest dobro, pojawia się natłok zła wokół niego. Jezus nie był jedynym, bo podobnie było w dziejach świętych – na przykład proboszcza z Ars (Jan Vianney). Oczywiście za czasów Jezusa często nie rozróżniano choroby od opętania. Albo traktowano chorobę jak opętanie. Otóż wszyscy, zarówno żydzi, jak i poganie, na każdym kroku domyślali się działania demonów. I upatrywali tego działania zwłaszcza tam, gdzie pojawiało się coś przeciwnego życiu, szczęściu, pokojowi, a dla wyznawców Boga Jedynego – przeciwnego samemu Bogu.

My uważamy – ciągle jeszcze ciąży na nas to stare określenie – że cud jest wtedy, kiedy Bóg przełamuje prawa natury. A przepraszam bardzo, czym są te prawa natury? My obserwujemy, jak Bóg rządzi

światem, i to określamy jako prawa natury. Trzeba powiedzieć, że dla tamtych ludzi cud był czymś innym niż dla nas. Czymś normalnym. My po prostu wiemy znacznie więcej, niż oni wiedzieli. O przyrodzie my jeszcze mnóstwa rzeczy nie wiemy, ale wiemy dużo... i wobec tego staramy się zawsze znaleźć jakieś wytłumaczenie w sposób naturalny. Natomiast im to nie przeszkadzało zupełnie, że czegoś się nie da wytłumaczyć, wręcz przeciwnie. Dla nich to, co my nazywamy cudem, było przede wszystkim znakiem. Znakiem mającym potwierdzić, że oto Królestwo Boże się zbliża.

Odpowiedział Mu jeden z tłumu: „Nauczycielu, przyprowadziłem do Ciebie mojego syna, który ma ducha niemego. Ten, gdziekolwiek go chwyci, rzuca nim – to znaczy zły duch, bo czy to była epilepsja czy zły duch, to te sprawy im się zacierały – *a on wtedy się pieni, zgrzyta zębami i drętwieje. Powiedziałem Twoim uczniom, żeby go wyrzucili, ale nie mogli". On zaś rzekł do nich: „O plemię niewierne, dopóki mam być z wami? Dopóki mam was cierpieć? Przyprowadźcie go do Mnie!". I przywiedli go do Niego. Na widok Jezusa duch zaraz począł szarpać chłopca, tak że upadł na ziemię i tarzał się z pianą na ustach. Jezus zapytał ojca: „Od jak dawna to mu się zdarza?". Ten zaś odrzekł: „Od dzieciństwa. I często wrzucał go nawet w ogień i w wodę, żeby go zgubić. Lecz jeśli coś możesz, zlituj się nad nami i pomóż nam!". Jezus mu odrzekł: „Jeśli możesz? Wszystko możliwe jest dla tego, kto wierzy". Natychmiast ojciec chłopca zawołał: „Wierzę, zaradź memu niedowiarstwu!"* (Mk 9,17-34). Dosłownie: wierzę, pomóż mi w moim braku wiary. Cała rzecz polega na tym, że gdybyśmy wierzyli naprawdę, to wiele rzeczy byłoby dla nas łatwe. My niby wierzymy, wyznajemy wiarę, ale jednocześnie nie

jesteśmy tak naprawdę wierzący. I tutaj jest głos tego błagania – wierzę, Panie, ale pomóż mi uwierzyć naprawdę!

„Nie bój się, wierz tylko”

Zaraz po uzdrowieniu kobiety chorej na krwotok mamy wskrzeszenie córki Jaira: *Gdy On jeszcze mówił, przyszli ludzie od przełożonego synagogi i donieśli: „Twoja córka umarła, czemu jeszcze trudzisz Nauczyciela?”. Lecz Jezus słysząc, co mówiono, rzekł przełożonemu synagogi: „Nie bój się, wierz tylko!”* (Mk 5,35-36). To jest coś niesłychanie ważnego. Po pierwsze, ci ludzie, którzy przychodzą z domu Jaira, mówią mu, że już nie ma po co prosić Nauczyciela, bo ona umarła. To znaczy – śmierć wydaje się tą granicą cudownej mocy Jezusa. A Jezus mówi mu coś, co odnosi się również do nas wszystkich. To są słowa adresowane do wszystkich czytelników czy słuchaczy tego tekstu: *Nie bój się, wierz tylko!* Nie bój się! Nawet jeżeli stajesz przed jakąś niemożliwością. Jeśli na coś nie mogę zaradzić albo nie daję rady czemuś, czego Bóg żąda ode mnie, często wpadam w panikę. A Jezus mówi: *Nie bój się, wierz tylko!* To jest ten nacisk na wiarę. Ale pamiętajmy, że wiara w całej Biblii – nie tylko w Nowym Testamencie – to jest zasadniczo zawierzenie. Nie tylko w świecie biblijnym, ale w świecie starożytnym w ogóle, wiara to nie była wiara, „że jest” Bóg (czy jacyś bogowie, jeżeli mówimy o świecie pogańskim), bo oni byli tego pewni. Dla tamtych ludzi samo istnienie Boga było oczywistością, natomiast nie było oczywistością – nigdy nie będzie dla nas oczywistością ani czymś łatwym – to całkowite zawierzenie. Bo zawsze, przy wszystkich naszych ludzkich

strachach to, co odgrywa największą rolę i najbardziej dręczy, to jest brak naszego zawierzenia. Bo wymyślamy sobie, a co będzie, a co się stanie... Ja wiem. Są takie momenty w życiu, kiedy jest bardzo trudno zawierzyć. Ale to jest tak, jak tutaj Jezus mówi do Jaira: *Nie bój się, wierz tylko*. To wystarczy. Tylko uwierz naprawdę.

To jest to, czego szukają u nas – i często nie znajdują – tak zwani ateiści. Oni są specjalnie wyczuleni na Boga w naszym postępowaniu. Pamiętam, co mi kiedyś opowiedziała pewna zakonnica (nieżyjąca już zresztą), pochodząca z bardzo kulturalnej rodziny żydowskiej. Ta rodzina była całkowicie niewierząca – w nic nie wierzyła – i ona tak była wychowana. Gdy była w klasie maturalnej, na jakimś spotkaniu wywiązała się dyskusja między dziewczynami (to była szkoła żeńska, jako że w tamtych czasach nie było szkół koedukacyjnych), czy Bóg jest, czy Boga nie ma. I ona, nie wiadomo dlaczego, powiedziała: „No bo jeżeli Bóg jest, to ja idę do klasztoru!". I poszła.

Opowiadałam już historyjkę o mojej młodszej koleżance, która była ateistką i komunistką. Kiedy usłyszała, że moja kuzynka składa śluby w klasztorze, powiedziała spontanicznie: „A to, to ja rozumiem!". Co ona rozumiała? To, że jeżeli Bóg jest, to trzeba Mu się oddać w całości. Oczywiście nie każdy wierzący musi iść do klasztoru, bo to byłoby zupełnie nie po myśli Pana Boga. Po prostu ludziom niewierzącym potrzebne jest nasze świadectwo, z czego my sobie często nie zdajemy sprawy. *Nie bój się, wierz tylko!* – mówi Jezus. To jest ta jedna rzecz, która jest potrzebna. Nie tylko: wierz w Boga. Tylko wierz Mnie i wierz Ojcu.

Lecz Jezus, słysząc co mówiono, rzekł przełożonemu synagogi: „Nie bój się, wierz tylko! I nie pozwolił nikomu iść z sobą z wyjątkiem

Piotra, Jakuba i Jana, brata Jakubowego. Tak przyszli do domu przełożonego synagogi. Wobec zamieszania, płaczu i głośnego zawodzenia, wszedł i rzekł do nich: „Czemu robicie zgiełk i płaczecie? Dziecko nie umarło, tylko śpi". I wyśmiewali Go. Lecz On odsunął wszystkich, wziął z sobą tylko ojca, matkę dziecka oraz tych, którzy z Nim byli, i wszedł tam, gdzie dziecko leżało. Ująwszy dziewczynkę za rękę, rzekł do niej: „Talitha kum", to znaczy: „Dziewczynko, mówię ci, wstań!". Dziewczynka natychmiast wstała i chodziła, miała bowiem dwanaście lat. I osłupieli wprost ze zdumienia. Przykazał im też z naciskiem, żeby nikt o tym nie wiedział, i polecił, aby jej dano jeść" (Mk 5,36-43). Jezus zwraca też uwagę na takie rzeczy ziemskie – żeby jej dano jeść... A dlaczego zawsze Piotr, Jakub i Jan? Tajemnica Bożego wyboru. Często młodzi mają ten niepokój – jakie jest moje powołanie, co ja mam zrobić z moim życiem? Nie bójmy się. W momencie, kiedy Bóg będzie chciał, powie nam to wyraźnie. Nie chcę wracać do mojego własnego życia, ale mnie w pewnej chwili powiedział zupełnie wyraźnie.

Być żebrakiem

„Człowiek jest żebrakiem wobec Pana Boga", takie zdanie zapożyczone od świętego Augustyna możemy przeczytać w Katechizmie (KKK 2559). Cała rzecz polega jednak na tym, że powiedzenie, że mamy być żebrakiem – nawet żebrakiem wobec Boga – budzi w nas takie pierwsze odruchowe odczucie, że my nie chcemy nim być. Każdy z nas chce być możliwie samodzielny, a już na pewno nie chcemy żyć z jałmużny. Niczyjej. Prawdopodobnie właśnie dlatego nasza modlitwa tak często chybia celu. I jeżeli

chcemy zrozumieć, o co w tym tekście chodzi tak naprawdę, najlepszą ilustracją będzie historia uzdrowienia niewidomego pod Jerychem.

Mamy tę historię we wszystkich trzech Ewangeliach synoptycznych, z tym że Mateusz skraca to opowiadanie i zamiast jednego niewidomego wspomina o dwóch (zob. Mt 20,29-34). Poza tym u Marka i u Mateusza ten niewidomy (czy ci niewidomi) spotykają Jezusa, kiedy Jezus wychodzi z Jerycha, natomiast u Łukasza, kiedy On wchodzi do Jerycha. Ale to zupełnie nie jest ważne dla naszego zbawienia. Natomiast sam cud i jego przebieg jest dla nas ważny: *Tak przyszli do Jerycha. Gdy wraz z uczniami i sporym tłumem wychodził z Jerycha, niewidomy żebrak, Bartimajos, syn Timajosa, siedział przy drodze. Ten słysząc, że to jest Jezus z Nazaretu, zaczął wołać: „Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nade mną!" Wielu nastawało na niego, żeby umilkł. Lecz on jeszcze głośniej wołał: „Synu Dawida, ulituj się nade mną!". Jezus przystanął i rzekł: „Zawołajcie go!". I przywołali niewidomego, mówiąc mu: „Bądź dobrej myśli, wstań, woła cię". On zrzucił z siebie płaszcz, zerwał się i przyszedł do Jezusa. A Jezus przemówił do niego: „Co chcesz, abym ci uczynił?" Powiedział Mu niewidomy: „Rabbuni, żebym przejrzał". Jezus mu rzekł: „Idź, twoja wiara cie uzdrowiła". Natychmiast przejrzał i szedł za Nim drogą* (Mk 10,46-52). U Łukasza, który podkreśla dziękczynienie, jest jeszcze dopowiedziane: *Natychmiast przejrzał i szedł za Nim, wielbiąc Boga. Także cały lud, który to widział, oddał chwałę Bogu* (Łk 18,43).

Marek jest tutaj najdokładniejszy. Podaje, że żebrak nazywał się Bartimajos – czyli dosłownie (z aramejskiego) syn Timajosa. Gdy posłyszał, że zbliża się Jezus z Nazaretu, zaczął krzyczeć: *Jezusie,*

synu Dawida zmiłuj się nade mną. W tym wołaniu jest już wyznanie wiary. „Synu Dawida" to znaczy w tym czasie „mesjaszu". To nie jest oczywiście wyznanie wiary w Jezusa jako Syna Bożego, ale wyznanie wiary, że On jest mesjaszem. Ludzie, którzy szli i którzy stali koło niego, zaczęli mu wymyślać, skłaniać go, żeby zamilkł. A on krzyczał jeszcze głośniej, powtarzając ciągle te same słowa. Ci, którzy chcieli go uciszyć, starali się mu zapewne wytłumaczyć – tu już jest moje przypuszczenie – że w tym hałasie i tłumie i tak go nikt nie usłyszy. Że Jezus po prostu go nie usłyszy. Ale on krzyczał uparcie, natarczywie, wbrew wszelkim racjonalnym lub po prostu gniewnym głosom, które wskazywały na bezsens tego, co czynił. No i stało się: Jezus, wbrew wszelkim rozsądnym przewidywaniom, krzyk ten usłyszał, przystanął i kazał go przyprowadzić do siebie.

Wezwali zatem ślepca, a on zerwał się tak gwałtownie, że porzucił swój płaszcz (to jest znamienne, bo ten płaszcz stanowił zapewne znaczną część jego majątku). A kiedy przyszedł do Jezusa, Jezus zapytał go – *co chcesz, abym ci uczynił?* Pytanie co najmniej dziwne. Przecież nie trzeba było specjalnej mądrości, wystarczyła przeciętna inteligencja (zupełnie przeciętna!) – wszyscy wiedzieli, o co prosi ten ślepiec. A Jezus mu zadaje to pytanie. No właśnie – i tutaj jest to, co powinno być naszym podejściem do modlitwy: my musimy otworzyć się na ten dar, który Bóg chce nam dać. Jezus chciał przywrócić wzrok temu ślepcowi, ale on musiał się otworzyć, musiał poprosić. Musiał się stać żebrakiem wobec Jezusa i musiał tę swoją prośbę wypowiedzieć otwarcie twarzą w twarz, gdyż tylko taka prośba otwiera nas na Tego, który chce nas obdarować. Poproś, powiedz, Mi, czego chcesz. Nie wystarczy

tylko, że będziesz wzywał – owszem, to jest najważniejsze, bo to zatrzymało Jezusa – ale powiedz Mi, czego chcesz. On odpowiedział: *Rabbuni, żebym przejrzał*. Tu jest właśnie ta konieczność otwarcia. On już wołał do Jezusa, wszyscy widzieli, że on woła. Ale jest jeszcze konieczność tego otwarcia się na Jezusa: Powiedz! Powiedz Mi, o co ci chodzi. To jest Jego wezwanie do nas: Jeżeli wam o coś chodzi, jeżeli czegoś chcecie, to powiedzcie Mi. Powiedzcie Mi. Po prostu otwórzcie przede Mną wasze serca.

Kiedy jest nam źle, kiedy jest nam trudno się modlić, czasem – użyję tutaj słów Jezusa – zamykamy drzwi naszej izdebki. Tylko że Jemu chodziło o coś zupełnie innego – o modlitwę w ciszy – a my po prostu zamykamy się i zapominamy, po co mieliśmy zamknąć te drzwi. I nie słyszymy słów Jezusa, który w Apokalipsie mówi: *Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli kto posłyszy Mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze Mną* (Ap 3,20). My na ogół, gdy czytamy czy słyszymy te słowa, zatrzymujemy się na tym, że jeżeli ktoś posłyszy i drzwi otworzy – wejdę do niego. Tu stawiamy kropkę, a reszta nas nie obchodzi. Zapomnieliśmy już zupełnie, co to jest ta ważność wspólnoty stołu, a tymczasem trzeba się odnieść do sposobu myślenia tamtych czasów i tamtego ludu, bo to są niesłychanie ważne słowa – *będę z nim wieczerzał, a on ze Mną*. Wspólne zasiadanie przy stole znaczyło, że ja się zbliżam do tego człowieka, że ja się niejako z nim utożsamiam, że żyję z nim razem. Dlatego właśnie faryzeusze mieli taką pretensję do Jezusa, że On jadał z grzesznikami. Ale na to, żeby Chrystusowy głos usłyszeć i drzwi Mu otworzyć, trzeba koniecznie znaleźć trochę czasu na spotkanie.

Trzeba zawsze znajdować, codziennie, w każdym dniu powszednim trochę czasu na spotkanie z Nim sam na sam, choćby to wydawało się bardzo trudne. Trzeba sobie powiedzieć: „Dobrze, ja mam bardzo mało czasu, ja jestem zapracowany (czy zapracowana), ale niech to będzie chociaż pięć minut". Ale codziennie. Nie tylko na odmówienie pacierza. To bardzo dobrze, jeżeli ktoś odmawia część różańca (czy choćby jedną dziesiątkę, jeżeli na tę część różańca brak nam czasu), ale żebyśmy także znaleźli chociaż pięć minut na to ciche albo głośne „otwarcie się" na Niego – na Jezusa, na Boga. Często Bóg doprowadza nas do tego spotkania z Nim przez różne potrzeby, albo przez cierpienie. Taka właśnie była droga tego Bartimajosa z Jerycha.

Ubodzy i cisi

Gadatliwi jak poganie

Mogłoby się komuś zdawać, że Jezus jest niekonsekwentny, czy nawet pozostaje w sprzeczności z sobą samym. Bo mówi tak: *Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak poganie. Oni myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani. Nie bądźcie podobni do nich! Albowiem wie Ojciec wasz, czego wam potrzeba, wpierw zanim Go poprosicie* (Mt 6,7-8). No to powstaje pytanie... Czy wobec tego mamy Go nie prosić (bo On wie z góry) i mamy Mu nie zawracać głowy? A zaraz bezpośrednio po tym Jezus mówi: *Wy zatem tak się módlcie: Ojcze nasz, który jesteś w niebie...* (Mt 6,8b-9a) i tutaj mówi *Ojcze nasz*. Mało tego, zaraz będzie im mówił: *Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam. Albowiem każdy, kto prosi, otrzymuje; kto szuka, znajduje; a kołaczącemu otworzą. Gdy którego z was syn prosi o chleb, czy jest*

taki, który poda mu kamień? Albo gdy prosi o rybę, czy poda mu węża? Jeśli więc wy, choć źli jesteście, umiecie dawać dobre dary swoim dzieciom, o ileż bardziej Ojciec wasz, który jest w niebie, da to, co dobre, tym, którzy Go proszą (Mt 7,7-11).

Więc tutaj mamy dwie sprawy. Po pierwsze, Jezus nie mówi: nie módlcie się i nie proście, bo Bóg i tak o wszystkim wie. Mówi tylko: nie mówicie za dużo, nie gadajcie, nie zamieniajcie waszej modlitwy w gadulstwo. Czasem to się zdarza ludziom bardzo dobrym. Pamiętam, jak kiedyś było wystawienie Najświętszego Sakramentu w czwartek przed pierwszym piątkiem. Zawsze starałam się przyjść w połowie dnia, koło pory obiadowej, dlatego że liczyłam, że będzie cisza w kościele. Tymczasem kiedyś przyszłam i zastałam tam taką grupką pań, które najwyraźniej były już zmęczone, ale wciąż bardzo się wysilały – i albo coś śpiewały, albo odmawiały. Byłam niedaleko nich i one po prostu nie dawały mi się modlić! W końcu tak bardzo nieśmiało do nich powiedziałam: „Proszę Pań, ja bardzo przepraszam, ale Pan Jezus chce być także czczony w milczeniu". Bałam się, że się obrażą – że albo mi nawymyślają, albo w najlepszym razie wyjdą z kościoła i będą mnie obgadywać poza kościołem. Nie. One umilkły i modliły się jakiś czas po cichu. I wtedy tak sobie pomyślałam o jednej rzeczy (to taka moja uwaga pod adresem księży) – że za rzadko się mówi ludziom o cichej modlitwie. O tej milczącej modlitwie. A ostatecznie dla mnie takim najlepszym określeniem modlitwy jest po prostu „bycie z Bogiem". To jest serce modlitwy.

Wyjść na sykomorę

U Łukasza bezpośrednio po cudzie przywrócenia wzroku niewidomemu od urodzenia mamy drugi cud – nie mniejszy, może nawet większy. Mianowicie zaraz po historii Bartimajosa mamy historię Zacheusza. To też jest uleczenie niewidomego, ale niewidomego na duszy, a nie na ciele. Poza tym jedno i drugie opowiadanie jest opowiadaniem o modlitwie. O modlitwie wysłuchanej. Tylko że Bartimajos krzyczy – krzyczy wbrew wszystkiemu, wbrew rozsądkowi, wbrew ludziom, którzy go otaczają i każą milczeć – i jest wysłuchany. A z Zacheuszem jest zupełnie inaczej. Zacheusz milczy i mało tego – on nawet nie próbuje się przebić do Jezusa.

Potem wszedł do Jerycha i przechodził przez miasto. A [był tam] pewien człowiek, imieniem Zacheusz, zwierzchnik celników i bardzo bogaty. Chciał on koniecznie zobaczyć Jezusa, kto to jest, ale nie mógł z powodu tłumu, gdyż był niskiego wzrostu. Pobiegł więc naprzód i wspiął się na sykomorę, aby móc Go ujrzeć, tamtędy bowiem miał przechodzić. Gdy Jezus przyszedł na to miejsce, spojrzał w górę i rzekł do niego: „Zacheuszu, zejdź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu". Zeszedł więc z pośpiechem i przyjął Go rozradowany. A wszyscy, widząc to, szemrali: „Do grzesznika poszedł w gościnę". Lecz Zacheusz stanął i rzekł do Pana: „Panie, oto połowę mego majątku daję ubogim, a jeśli kogo w czym skrzywdziłem, zwracam poczwórnie". Na to Jezus rzekł do niego: „Dziś zbawienie stało się udziałem tego domu, gdyż i on jest synem Abrahama. Albowiem Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło" (Łk 19,1-10).

To zabawne, ale w Jerychu przynajmniej do niedawna (byłam tam w 1996 albo 1995 roku) pokazywali tę sykomorę (czyli dziką figę),

na którą podobno wlazł Zacheusz. Oczywiście tak starej sykomory w rzeczywistości nie ma – to po prostu drzewo posadzone tam, gdzie tradycyjnie uważa się, że tamta biblijna sykomora rosła. W każdym razie wydaje się, że nasz Zacheusz był człowiekiem nieśmiałym. Prawdopodobnie nie miał nawet nadziei, że Jezus na niego spojrzy. On wlazł na to drzewo, żeby zobaczyć Jezusa, i nawet mu się nie śniło, że Jezus zrobi to, co zrobił. Ale to jego wejście na drzewo i wypatrywanie Jezusa to była modlitwa. To była ta modlitwa „wpatrywania się w Jezusa", o której mówił pewien chłop francuski świętemu Janowi Vianneyowi, gdy ten go zapytał: „Co ty tu robisz w kościele, tak długo klęcząc?". „Modlę się". „A jak ty się modlisz?". „Ja patrzę na Niego, a On patrzy na mnie".

Zacheusza zaliczamy do zupełnie innej kategorii niż tego żebraka krzyczącego na ulicy, niż tę wdowę, która nachodziła niesprawiedliwego sędziego. Ale dla Jezusa to nie miało żadnego znaczenia. Dla Jezusa ważna była jego tęsknota, jego gotowość. I stąd dalszy ciąg – Jezus przychodzi do niego i uzdrawia go. Przywraca mu pełnię łaski i ta obecność Jezusa skłania go do tego, żeby on naprawił wszystkie krzywdy, które mógł popełnić. No właśnie. To jest niesłychanie piękne, a jednocześnie to jest nauka dla nas. Możemy zarówno krzyczeć głośno (jeżeli to nam pomaga), jak i możemy trwać w milczeniu.

Często mówię ludziom czy sobie samej, że jeśli coś w sposobie modlitwy mi przeszkadza w modleniu się, to znaczy, że jest zbędne i nie o to tu chodzi; jeżeli coś mi pomaga – jest dobre. Na przykład ja mam „błogosławieństwo" mojego ojca duchownego na to, żebym w czasie modlitwy usiadła czy nawet położyła się, jeśli tak mi jest najwygodniej się modlić. To jest zresztą podobno zasada świętego

Ignacego Loyoli: żeby do modlitwy przyjąć taką postawę, która najbardziej tej modlitwie sprzyja (akurat teraz – w moim wieku – sprzyja taka pozycja nie całkiem leżąca, ale po prostu siedzę zwyczajnie na fotelu). To dotyczy również słów. Jezus u Mateusza mówi wyraźnie, że Bóg nie potrzebuje naszego wielomówstwa. Bo On i tak wie, czego nam potrzeba. Zacheusz jak gdyby przeczuł, że Jezus się domyśli, czego mu potrzeba. I to jest dla mnie niesłychanie ważne. W podrozdziale *Formuły modlitwy* w Katechizmie jest pytanie o rolę słów w modlitwie wewnętrznej (jedną z jej form jest kontemplacja). Otóż słowa są jak chrust, który podtrzymuje ogień miłości (por. KKK 2717). Takie słowa – pomocne w skupieniu – możemy znaleźć na przykład w Psalmach (mnie najbardziej pasują właśnie Psalmy); czasem można też mówić słowa z Ewangelii. Nawiasem mówiąc, tam w Katechizmie jest bardzo rzadko używane słowo francuskie oznaczające takie małe kawałki chrustu. W polskiej wersji przetłumaczono je jako „iskierki", które zapalają ogień miłości. One nie zapalają. One tylko podsycają. Ten ogień już płonie.

Błogosławieni ubodzy w duchu

Kim są ubodzy w duchu? Nam by się może zdawało, że „ubodzy duchem" czy „w duchu" to własność Jezusa czy Ewangelii, a tymczasem okazało się, że ubodzy (*anawim*) mieli swój odpowiednik w tekstach z Qumran. Ale co to znaczy? Taki ubogi to przede wszystkim człowiek, który wie, że nic nie może bez Boga. To ten, który się zgadza, żeby wszystko otrzymywać od Boga: on po prostu nic nie ma i wobec tego Bóg jest jego jedyną ucieczką.

Taka bardzo specyficzna i ważna rola ubóstwa daje się zauważyć już w czasach proroków. Wydaje mi się, że Mateusz (albo sam Jezus, choć w wersji Łukasza tego nie ma) dodał tu słowo „duchem", bo po prostu znał już to określenie: tu nie chodzi wyłącznie o ludzi, którzy są biedni, tylko o tych, którzy wiedzą, że mogą się oprzeć jedynie na Bogu – innego oparcia nie mają.

Błogosławieństwo dla ubogich – dla ubogich w duchu – to pierwsze błogosławieństwo w piątym rozdziale Mateusza. W wersji Łukasza różni się tym, że u niego jest ogólnie powiedziane „błogosławieni ubodzy", a nie „ubodzy w duchu". Ale to nie jest istotne. Istotne jest to, że to błogosławieństwo jest odbiciem różnych błogosławieństw hebrajskich. W ogóle w języku hebrajskim mamy bardzo dużo określeń na ludzi ubogich. My możemy powiedzieć po polsku: ubogi, biedny, żebrak, nędzarz. Mamy kilka takich określeń. W biblijnych księgach mądrościowych, jak na przykład w Księdze Przysłów, mamy tylko jedno słowo na oznaczenie ubogiego – i to pozbawione jakiegokolwiek zabarwienia uczuciowego. Ale zupełnie inaczej to wygląda u proroków. Dla proroków ubóstwo nigdy nie jest czymś obojętnym. Jeśli mówią o ubóstwie, to zawsze po to, żeby protestować przeciwko wyzyskowi i niesprawiedliwości ze strony bogatych. I tutaj jest całe mnóstwo słów o różnym zabarwieniu. Czasem to określenie kogoś, komu czegoś brakuje, czegoś pragnie, o coś prosi, albo nawet żebrze. Inne słowo wskazuje na kogoś, kto jest słaby, mizerny – taka chudzina. Wreszcie jest słowo, które oznacza przede wszystkim człowieka zgarbionego, poniżonego, przybitego, przywalonego nędzą, chorobą albo jakąś krzywdą, którą mu wyrządzili. To ktoś, kto jest bezsilny, bezbronny,

bezradny. I tutaj się pojawia to najważniejsze słowo – *anawim*. Słowo *anawim* częściej niż pozostałe określenia nabiera znaczenia religijnego. To ludzie, którzy są pokorni. Poniżeni, a zatem pokorni przed Bogiem.

Często wydaje się, że dopiero nasza epoka odkryła nowe oblicze ubóstwa. Tymczasem to ubóstwo, nad którym pochylali się Boży mężowie Starego Testamentu, było w gruncie rzeczy takie samo jak w naszych czasach. Tam też napotykamy wielki pochód „nędzarzy" opłakujących przed Bogiem utratę ludzkiej godności, brak własnego kąta, jakichkolwiek nadziei na przyszłość, wreszcie udrękę, która prowadzi czasem do rozpaczy. Echo tych skarg słyszymy u proroków już od VIII wieku przed Chrystusem. I tutaj mamy takiego przedziwnego proroka. To prorok Amos, który grozi Izraelitom gniewem Boga. Dlaczego? Bo *sprzedają za srebro sprawiedliwego, a ubogiego za parę sandałów; w proch ziemi wdeptują głowy biedaków i ubogich kierują na bezdroża* (Am 2,6b-7a).

Prorok Amos miał różne – czasem zabawne – formy karcenia ludzi bogatych. Pamiętam, że kiedy miałam mówić o Amosie, pewna pani stwierdziła, że go nie lubi. Pytam: „Dlaczego?". „Bo on występuje przeciwko kobietom! To antyfeminista!". Amos by się na pewno zdziwił. Ale owszem, jest taki tekst u Amosa, gdzie Amos wymyśla zamożnym mieszkankom Samarii (stolicy Królestwa Północnego, czyli Izraela), nazywając je nawet „krowami Baszanu". Baszan – teren na północny wschód od Jeziora Galilejskiego – słynął z bardzo pięknego i tłustego bydła... więc to rzeczywiście nie jest komplement. Amos mówi w ten sposób: *Słuchajcie słowa tego, krowy Baszanu, które mieszkacie na górach Samarii: uciskacie*

biednych, gnębicie ubogich, mówicie do mężów swoich: „Przynieś, a będziemy pili!” (Am 4,1). Za to gnębienie słabych zapowiada Bóg beztroskim paniom zburzenie Samarii i konsekwencje, jakie dla nich osobiście wynikną. Nieco później (druga połowa VIII wieku, nawet koniec VIII wieku) Amosowi wtóruje w Jerozolimie wielki prorok Izajasz. Tym razem zwraca się do ludzi, którzy ustanawiają prawa. Otóż mówi: *Biada prawodawcom ustaw bezbożnych i tym, którzy ustanowili przepisy krzywdzące, aby słabych odepchnąć od sprawiedliwości i wyzuć z prawa biednych mego ludu* (Iz 10,1-2a). Lament cierpiących, ubogich rozbrzmiewa także w wielu psalmach. *Ujmijcie się za sierotą i uciśnionym, wymierzcie sprawiedliwość nieszczęśliwemu i ubogiemu! Uwolnijcie słabego i nędzarza, wyrwijcie go z rąk występnych”* (Ps 82,3-4).

W VIII wieku widzimy tych ludzi, którzy są rzeczywiście krzywdzeni zewnętrznie, są rzeczywiście biedni. Ludzi, których ubóstwo wykorzystują ludzie bogaci, po prostu zabierając im to, co jeszcze mają, i zmuszając ich do pracy bez żadnego wynagrodzenia, albo ze słabym wynagrodzeniem. Dręczą ich. A teraz dochodzimy do czegoś bardzo ciekawego. Otóż w drugiej połowie VII wieku pojawia się prorok imieniem Sofoniasz. I on pierwszy – tak się zdaje przynajmniej – dostrzega możliwość przemiany tej słabości bezbronnego ubóstwa w prośbę i wezwanie skierowane do Boga: skoro nic nie masz, skoro jesteś zupełnie bezsilny, to zwróć się do Pana. Bo nic innego ci nie zostało, po prostu. I tutaj Sofoniasz woła: *Szukajcie Pana, wszyscy anawim ziemi, którzy pełnicie Jego nakazy; szukajcie sprawiedliwości, szukajcie anawa* (So 2,3a). *Anawa* to rzeczownik od *anawim*. Nasi tłumacze przełożyli to (nie najgorzej wcale) jako „pokora” i „pokorni”. To hebrajskie słowo *anawa*

określa ich wewnętrzną postawę, która powinna prowadzić do nieograniczonej ufności. Do radykalnej, a jednocześnie radosnej pokory. Bo *anawim* to ludzie ubodzy, ale niekoniecznie finansowo. To ludzie, których bezsilność pomaga otworzyć się na wszechmoc Bożą. Czy to dlatego, że bez wsparcia tej wszechmocy, nie zdołaliby przeżyć, czy to dlatego, że sami nie zdołaliby odnaleźć drogi do Boga.

W drugim rozdziale Marka pojawia się człowiek sparaliżowany (zob. Mk 2,1-12), którego do Jezusa przynosi czterech jego przyjaciół. On sam przyjść nie może. To „nędzarz" w sensie fizycznym, który nie może przyjść, on nie ma nawet siły, by stanąć przed Jezusem. Nie wiemy, czy miał pieniądze, ale skoro przyjaciele go przynoszą, a nie niewolnicy, to chyba nie. Niewolnicy na pewno by mu utorowali drogę do Jezusa, a tutaj ci przyjaciele mieli kłopot: *Zebrało się tyle ludzi, że nawet przed drzwiami nie było miejsca, a On głosił im naukę. Wtem przyszli do Niego z paralitykiem, którego niosło czterech. Nie mogąc z powodu tłumu przynieść go do Niego, odkryli dach nad miejscem, gdzie Jezus się znajdował, i przez otwór spuścili łoże, na którym leżał paralityk. Jezus, widząc ich wiarę, rzekł do paralityka: „Synu, odpuszczają ci się twoje grzechy"* (Mk 2,2-5). To charakterystyczna rzecz, że Jezus odpowiada nie tylko na wiarę tego paralityka, ale na wiarę tych ludzi, którzy siedzą na dachu i których Jezus nie widzi w tym momencie. Najpierw odpuszcza mu grzechy – właśnie ze względu na ich wiarę, a nie na jego wiarę – a potem go uzdrawia.

Pokora Zacheusza

Wspomniany wcześniej Zacheusz jest przykładem kogoś bardzo bogatego, kto ma dużo pieniędzy i dużo możliwości (te możliwości to nie tylko pieniądze). W polskim przekładzie Biblii Tysiąclecia jest nazwany zwierzchnikiem celników. To może nie jest zupełnie dobre określenie, bo oni nie mają prawie nic wspólnego z naszymi celnikami – to raczej poborcy podatkowi, a nie celnicy. Była tu cała hierarchia: ktoś bardzo bogaty (tak bardzo, że przy nim nawet nasz Zacheusz byłby człowiekiem niebogatym) oferował władzom rzymskim, że wpłaci skarbowi rzymskiemu taką czy inną ogromną sumę z jakiegoś ogromnego podatku na określonym terytorium. I potem musiał tę sumę wpłacić, ale przy okazji starał się zdobyć znacznie więcej. Jego podwładni płacili jemu, a potem sobie to odbijali, nakładając najróżniejsze podatki, opłaty, myta i cła wszelkiego rodzaju (takich podatków było dużo w tym czasie, nawet nie wszystkie zasługiwały na miano podatków). Natomiast ci najubożsi celnicy to po prostu najemni pracownicy, którzy mieli powiedziane „tyle masz pobrać, a jeżeli weźmiesz więcej, to pójdzie dla ciebie". Dlatego gdy celnicy przyszli do Jana Chrzciciela i pytali, jak mają żyć po tym chrzcie w Jordanie, on im odpowiedział: „nie pobierajcie więcej, niż musicie pobrać". W tym „musicie" kryje się nie tylko to, co oni musieli oddać swojemu zwierzchnikowi, ale też to, co musieli mieć dla siebie na utrzymanie – ale nie więcej. Tylko to, co im przysługiwało.

Otóż w 19 rozdziale Ewangelii Łukasza jest powiedziane, że Zacheusz to zwierzchnik celników, czyli nie ten, który sam zbiera, tylko ten, który odbiera od nich pieniądze. I dowiadujemy się, że on chce zobaczyć Jezusa, chociaż z daleka chce Go dojrzeć, ale to nie jest takie proste w wielkim tłumie, ponieważ jest niski. To

ciekawe – przecież on ma niewolników, ma służbę i mógłby ściągnąć Jezusa do siebie do domu nawet siłą, gdyby chciał. Ale on tego nie robi. Mimo całego swojego bogactwa nie śmie, bo wie, że jest nieczysty w oczach żydów – stykał się z przecież z poganami, pracował dla pogan i robił na tym pieniądze. On nawet nie próbuje utorować sobie drogi do Jezusa, a to byłoby bardzo łatwe – po prostu posłać niewolników, żeby kazali ludziom się rozstąpić. Ci ludzie na pewno by się rozstąpili przed takim możnym panem.

Pobiegł więc naprzód i wspiął się na sykomorę, aby móc Go ujrzeć, tamtędy bowiem miał przechodzić. To jest ta scena, którą strasznie kocham. Bo wyobraźmy sobie, co musiał czuć Zacheusz, gdy Jezus pojawił się niespodziewanie pod tym drzewem, na którym on siedział! I mówi: *Zacheuszu, zejdź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu*. Musiał być zupełnie zduszony radością, gdy schodził pospiesznie z tego drzewa; to była absolutna niespodzianka! W tej scenie, która rozgrywa się w domu Zacheusza, to Zacheusz jest pierwszy – Jezus odpowiada na jego gest. Nie wystarczyło, że on nie użył siły ani bogactwa, żeby się dostać do Jezusa – on dobrowolnie zrzeka się połowy swojego majątku, a tam, gdzie kogoś pokrzywdził, poczwórnie oddaje. Ta jego gotowość oddania to „ubóstwo". On był bogaty, jednak w tym swoim geście oddania wszystkiego to jest prawdziwy „ubogi w duchu".

Wydaje mi się, że tu jest nauka dla nas wszystkich: bycie ubogim w duchu to tak naprawdę nie jest kwestia tego, czy mam dużo czy mało. To prawda, że często ludzie bardzo ubodzy, tacy, którzy mają mało pieniędzy, są hojniejsi. Pamiętam, jak podczas – ostatniej zresztą – choroby mojej matki (w 1976 roku) na różne pomoce

pielęgniarskie musiałam wydać znacznie więcej, niż wynosiła wówczas moja pensja. I wtedy przyszła do mnie moja serdeczna znajoma, staruszka 82-letnia (inna sprawa, że w tej chwili jestem bliska tego wieku, a nie czuję się staruszką), i zaproponowała, że pożyczy mi pieniądze. Miała rentę zupełnie minimalną, to były pieniądze odłożone na jej grobowiec, ale zaproponowała, że może mi pożyczyć. Mnie nie było to co prawda potrzebne, jeszcze mogłam sobie poradzić, ale do dzisiaj to pamiętam: ten, kto ma bardzo mało, jest gotów oddać. A tu – w opowiadaniu o Zacheuszu – mamy przykład odwrotny: on po ludzku jest naprawdę bogaty, a oddaje. Nie próbuje się dostać siłą do Jezusa, chociaż może. Po ludzku może, ale on tej metody nie użyje.

Zacheusz kojarzy mi się w pewien sposób z tym żebrakiem spod Jerycha, który tylko krzyczał (i dokrzyczał się, chociaż mu wszyscy mówili, że się nie dokrzyczy), ale także z paralitykiem przyniesionym do Jezusa przez czterech przyjaciół. To przykład ludzi, którzy są typami pewnej postawy. Zacheusz na drzewie nie mówi nic, ale jednocześnie to jego milczenie na tym drzewie – jest krzykiem. Krzykiem, który Jezus usłyszał. Zacheusz mógł wejść na drzewo, a paralityk był całkowicie zdany na ludzką pomoc, jednak obaj byli ubodzy. We wszystkich tych określeniach ubóstwa – przede wszystkim właśnie tam, gdzie jest mowa o *anawim* – chodzi na ogół nie tyle o ubóstwo materialne, ile raczej o słabość i bezbronność tego człowieka wobec kogoś silniejszego. Chodzi o bezbronność, która nieraz właśnie z tego ubóstwa może wyniknąć, bo on jest tak biedny, że nie może się w żaden sposób bronić, jeżeli ktoś chce mu zrobić krzywdę. Zacheusz był człowiekiem bogatym, ale on też nie widział wyjścia ze swojej

sytuacji. On mógł gromadzić coraz więcej pieniędzy i jednocześnie coraz więcej nienawiści przeciwko sobie. On wiedział, że gdyby się siłą przedarł do Jezusa, to Jezus może by coś zrobił, ale on sam ściągnąłby na siebie jeszcze większą niechęć. Czy mógł zmienić styl życia? Mnie się zdaje, że był bardzo uwikłany. Mógłby może wpaść na taki pomysł, ale bardzo wątpliwe, jaki skutek by to odniosło. Chyba żeby Bóg wystąpił w jego obronie... I Bóg wystąpił w jego obronie. Jezus nie poucza go, bo on był już gotowy do tej zmiany: ale wiedział, że kiedy wypowie to wobec Jezusa, nabierze to innego znaczenia.

Błogosławieni cisi

Kiedy w III i w II wieku przed Chrystusem powstawał wielki przekład całej Biblii hebrajskiej na język grecki (czyli tak zwana Septuaginta), tłumacze mieli niemały kłopot ze znalezieniem odpowiednich słów na przetłumaczenie tych licznych określeń ubóstwa i ubogich. Otóż najczęściej posługiwali się dwoma słowami. Jedno to *ptochos*, czyli grecki „żebrak" po prostu (liczba mnoga to *ptochoi*; czyli „ubodzy w duchu" z błogosławieństw to „żebracy"), a drugie to *praeis* – tłumaczone (nie całkiem dobrze) jako „cisi". Biblijny cichy to ten, który nie rozpycha się łokciami. To są dwie formy pokory. Pierwsza: ja wiem, że nic nie mogę, i muszę się zdać na Ciebie. Natomiast druga pokora to właśnie wspomniana wcześniej postawa Zacheusza: nawet jeżeli po ludzku mogę, nie będę się przepychał łokciami. Człowiek tak bogaty, który na pewno ma jakieś chody, świadomie tego nie wykorzystuje – jest ubogi. On właściwie niczego nie chciał – tylko zobaczyć Jezusa z daleka. Ale

Jezus zobaczył w tym geście tęsknotę i potrzebę szukania (oczywiście Zacheusz nie wiedział, kim naprawdę jest Jezus, on wiedział tylko, że to mąż Boży).

To trzecie z kolei błogosławieństwo w Ewangelii świętego Mateusza: *Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiądą ziemię* (Mt 5,5). Oni odziedziczą ziemię to znaczy: ci, którzy się nie będą pchać, będą panami całej ziemi. O tym też mówi Psalm 37. W polskim przekładzie Biblii Tysiąclecia – *pokorni posiądą ziemię* (Ps 37,11). Psalm ten ma charakter mądrościowy i głosi starą (dość prymitywną) zasadę, według której powodzenie bezbożnych nigdy nie trwa długo, a cierpienia sprawiedliwych zawsze kończą się pomyślnie. Mimo wszystko warto go uważnie przeczytać, bo pomoże nam lepiej zrozumieć znaczenie tego greckiego słowa *praeis* – cichy. *Nie unoś się gniewem z powodu złoczyńców* – radzi Psalmista – *ani nie zazdrość niesprawiedliwym, bo znikną tak prędko jak trawa i zwiędną jak świeża zieleń. Miej ufność w Panu i postępuj dobrze, mieszkaj na ziemi i dochowuj wierności, raduj się w Panu, a On spełni pragnienia twego serca*. I przede wszystkim: *Powierz Panu swoją drogę i zaufaj Mu: On sam będzie działał* (Ps 37,1-5). To jest bardzo piękne, bo my na ogół za dużo energii tracimy na zastanawianie się, a właściwie – na banie się, na zamartwianie się: Co będzie? Jak ja mam postąpić? Zawierz Panu swoją drogę, a On sam będzie działał! *Upokórz się przed Panem i Jemu zaufaj*. (...) *Jeszcze chwila, a nie będzie przestępcy: spojrzysz na jego miejsce, a już go nie będzie. Natomiast pokorni* – anawim – *posiądą ziemię i będą się rozkoszować pełnią pokoju* (Ps 37,7a.10-11).

Odpowiednik powyższych słów można znaleźć w słowach Jezusa wypowiedzianych do Piłata, kiedy Piłat pyta Jezusa – *czy Ty jesteś*

Królem Żydowskim (J 18,33)? W tym pytaniu jest ironia, bo Piłat nie wyobraża sobie takiego króla. A Jezus mu mówi: *Moje królestwo nie jest z tego świata* (J 18,36). I to jest zdanie, które bardzo często, przez wieki, było źle rozumiane. Jak umrzecie, to będziecie szczęśliwi – tak się mówiło do ubogich, prawda? A tymczasem Jezusowi chodzi o coś zupełnie innego: nie jest z tego świata, bo gdyby był, słudzy Jezusa walczyliby, żeby nie został wydany (zob. J 18,36). Tutaj jeszcze jedno wydaje mi się dosyć ważne, a mianowicie: co to znaczy, że Jezus mówi o sobie, że jest cichy i pokornego serca? Zachęca wszystkich utrudzonych i dźwigających wielkie ciężary, by przyszli do Niego. A biorąc Jego jarzmo, żeby się stali cichymi i pokornego serca. Wtedy bowiem znajdą spokój w życiu swoim (zob. Mt 11,28-29). Dziękował również Ojcu, że objawił swoje prawdy tym, którzy są jak małe dzieci, a zakrył je przed mądrymi i roztropnymi czy uczonymi (zob. Mt 11,25; Łk 10,21). To niewątpliwie są bogacze. A ci, którzy nic nie wiedzą jak małe dzieci – lecz mogą i chcą się uczyć – to są prawdziwie ubodzy duchem. Taka była Maryja. Na wstrząsające posłanie anioła odpowiedziała po prostu: *Oto służebnica Pana* (Łk 11,38). Bez tego zaimka „ja". I tutaj można powiedzieć, że ona jest królową. Ale królową wszystkich *anawim* – tych, którzy nie stawiają na siebie. Którzy wiedzą, że nie mogą na siebie postawić. Bez względu na to, czy wiedzą to dlatego, że jak Zacheusz są tymi „nieczystymi" w oczach świata i sami się czują „nieczyści", czy dlatego, że jak ten paralityk, nie mogą się ruszyć fizycznie.

Modlitwa Pismem Świętym

Lectio Divina

Starajcie się posiąść miłość. Troszczcie się o dary duchowe, szczególnie dar proroctwa (1 Kor 14,1). W oryginale tam nic nie ma o posiadaniu, to jest zupełnie inny czasownik. Dosłownie gońcie (ścigajcie) miłość. Dążcie wytrwale do tego, żebyście mieli miłość, żebyście kochali. I z gorliwością starajcie się o dary duchowe. Co to znaczy to prorokowanie? Chodzi o to, żebyście umieli wykładać, tłumaczyć to, co się dzieje, i to, co Bóg mówi w Piśmie Świętym. Żeby mówić w Jego imieniu.

Czasem jest tak, że jakieś słowa – które znamy dobrze, które się nam podobają, do których nawet wracamy – mimo wszystko są dla nas tylko słowami. Przyjmujemy je jako słowa Boże, ale poza tym przyjęciem nie słyszymy w nich nic więcej. A czasem ni stąd, ni zowąd jakieś słowo tak się „zapala" od środka. I to jest znak, że odzywa się Duch Święty. Trzeba tylko uważać, żeby to był Duch

Święty, a nie duch inny, bo to też się zdarza. Pamiętam, jak w jakiejś książce kapłan (to nie był polski autor), który się zajmował różnymi grupami typu Światło-Życie, napisał, że jeżeli zakonnica powie, że jej Duch Święty każe jechać do Paryża, chociaż przełożona jej zabrania, to on będzie wiedział, że to nie Duch Święty. Tu chodzi o pierwszeństwo obowiązków stanu (jest jedna rzecz, której mnie uczył mój ojciec duchowny: tak długo jak miałam matkę i babkę, a potem samą matkę, to ona była pierwsza, drugim moim obowiązkiem był uniwersytet, bo ja całe moje dorosłe życie pracowałam na uniwersytecie, a trzecim – zobowiązania wobec wydawnictw).

Lectio Divina to dosłownie „czytanie Boże", czyli takie czytanie Pisma Świętego, które ma nas nauczyć modlitwy. Bo Biblię możemy czytać w różnych celach. Można czytać z ciekawości, a można czytać z powodów naukowych. Ja ciągle siedzę w Piśmie Świętym, przygotowując wykłady, chociaż czasami nawet takie czytanie może przejść w Lectio Divina, prowadząc do modlitwy... W tym modlitewnym czytaniu można korzystać z różnych pomocy – komentarzy prowadzących do lepszego zrozumienia treści. Dla mnie takim praktycznym podręcznikiem Lectio Divina jest *Krąg Biblijny* Brandstaettera. Mam tylko jedno zastrzeżenie: lepiej nie wchodzić w to, co on nazywa „swoim tłumaczeniem" pism świętego Jana, zwłaszcza Ewangelii, ponieważ Brandstaetter, który świetnie znał hebrajski, niestety nie znał greki. Za to wspaniale nam pokazał, jak można żyć Pismem Świętym, jak można się „zanurzyć" w Piśmie. Najbardziej zaskoczył mnie tym, że można modlić się nawet tekstem narracyjnym, opowiadaniem.

W Biblii takim wielkim podręcznikiem modlitwy jest jednak przede wszystkim Księga Psalmów – pieśni, którymi modlił się również sam Jezus. Dzisiaj Psalmy nie zawsze są dla nas zrozumiałe – problematyczne okazały się zwłaszcza fragmenty złorzeczące i te w wersji brewiarzowej. Niektóre z nich zostały z tych Psalmów wyrzucone, chociaż nie wszyscy bibliści się na to zgadzali. Tu pojawia się jedno pytanie: czy my chcemy być bardziej święci od Jezusa? Jezus modlił się wszystkimi psalmami – nie słyszeliśmy nigdy, żeby robił jakieś różnice pomiędzy nimi. Ale jeżeli tekst modlitwy ma nam pomagać, to – uwzględniając nasz odmienny sposób odczuwania – może lepiej jest, że mamy brewiarz troszkę okrojony. Bo to prawda, że my jesteśmy troszkę inni niż ludzie z czasów Jezusa. Na przykład tam gdzie Psalmista mówi „ja", często myśli nie tylko o sobie jako jednostce, ale o całym Izraelu – a wrogowie Izraela byli wówczas utożsamiani z wrogami Jahwe. Poza tym czasem w Biblii pewne rzeczy są po prostu bardzo mocno powiedziane. Nawet sam Jezus – w naszym odbiorze – niekiedy mówił rzeczy bardzo ostre i takie, które byłyby bardzo dziwne, gdybyśmy je rozumieli dosłownie. Na przykład wtedy, kiedy stwierdza, że jeśli gorszy cię twoje prawe oko, to je wyłup, a jeśli cię skłania do grzechu twoja prawa ręka, to ją odetnij. Przecież, na litość boską, Jezus nie namawia nikogo do okaleczania się. Tu jest po prostu bardzo mocno powiedziane: jeżeli coś, co jest dla ciebie ważne i niezbędne (tak ważne jak twoje prawe oko lub jak twoja prawa ręka) skłania cię do grzechu – to się tego pozbądź. Jest jeszcze jedna rzecz, o której trzeba pamiętać: Psalmy są gorące. A my jesteśmy często letni – ani źli, ani dobrzy.

Biblijne inspiracje w Godzinkach

Autorom Godzinek chodziło o stworzenie modlitwy podobnej do Brewiarza – odmawianej codziennie w poszczególnych porach dnia. Brewiarz dzielił się na tak zwane „godziny". Właściwie wciąż się dzieli, bo wszystkie godziny dzienne zostały zachowane. Najpierw jest jutrznia (modlitwa poranna), potem jest pryma, tercja, seksta, nona, wieczorem są nieszpory i na zakończenie dnia kompleta, która – dla tych, którzy znają łacinę – łączy się z pojęciem dopełnienia. Godzinki w stosunku do dawnych brewiarzowych godzin były jednak mniejsze, o wiele krótsze, i stąd się wzięła ich nazwa. Dzisiaj te hymny bardzo trudno nam zrozumieć. Znajdziemy tu bowiem nawiązania do Biblii, wymagające takiej znajomości Pisma Świętego, jakiej my na ogół nie posiadamy. Natomiast autorowi Godzinek te wszystkie biblijne porównania i słowa wzięte z Pisma Świętego po prostu same wchodziły pod pióro.

W Godzinkach o Niepokalanym poczęciu Najświętszej Marii Panny zwracamy się więc do Maryi słowami: „O mężna białogłowo, Judyt wojująca od niewoli okrutnej lud swój ratująca". To jest już piąty hymn – z nieszporów. Ale o jaką Judytę tu chodzi? Można powiedzieć jedno: zarówno historia Judyty, jak i – również wspomniana w Godzinkach – historia Racheli i jej syna Józefa to nawiązanie do ksiąg biblijnych. Księga Judyty jest dość daleko w Starym Testamencie, zaraz po Tobiaszu, i ma ten sam charakter co Tobiasz. To takie księgi, które najbardziej przypominają powieści historyczne w rodzaju Sienkiewicza. Tak jak Sienkiewicz stwierdza na końcu Trylogii, że pisał dla pokrzepienia serc, tak te księgi biblijne były pisane może nie tyle ku pokrzepieniu, co jako

nauka. A więc nieważne, czy Judyta jest postacią historyczną, czy nie. Samo wspomnienie o Judycie nie jest księgą historyczną, czego najwymowniej dowodzi fakt, że przeciwstawia się ona Holofernesowi – wodzowi pod rozkazami króla Nabuchodonozora – a wszystko się dzieje w V wieku, albo w IV, czyli w czasie, kiedy Nabuchodonozor już dawno nie żył. Nabuchodonozor był królem Babilonu, który rzeczywiście najechał Judę i zniszczył Świątynię, ale w roku 587/6. Tym, co tu jest ważne, jest jednak charakter Judyty. Ona jest po prostu obrazem odwagi i zawierzenia Bogu. Odważa się wyjść w nocy, zostawić swój dom i idzie do tegoż Holofernesa, do jego namiotu, udając, że chce go uwieść. A więc naraża się bardzo – i w pełni rozumie to niebezpieczeństwo. Jej dzieje pokazują nam, że jeżeli zawierzymy Bogu, to wtedy możemy dokonać czegoś – że tak powiem – nieprawdopodobnego. Ona, kobieta (a pamiętajmy, że pozycja kobiety w tym świecie żydowskim jest zawsze „upośledzona"), dokonuje tego, czego nie mogą dokonać mężczyźni. Mało tego, właśnie narażając się okropnie, broni mężczyzn, synów i mężów innych kobiet (ona sama nie ma już męża, jest wdową). To jest ciekawe zjawisko, bo prawdopodobnie w tym samym (lub w bliskim) czasie, co Księga Judyty, powstaje Księga Estery i Księga Rut (taka mała książeczka, która znajduje się w naszej Biblii po Księdze Sędziów). I znowu mamy kobiety, które nadają imiona całym księgom. To jest aż dziwne, że tu tak bardzo mocno podkreślono znaczenie kobiety – w tym świecie, który na ogół kobiety specjalnie nie wywyższa....

W Godzinkach zaraz w następnym wersecie po Judycie jest wspomniana jeszcze inna kobieta – taka, o której wiemy bardzo

niewiele. Tutaj bowiem ważniejszy jest syn Racheli niż sama Rachela. „Rachela ożywiciela Egiptu nosiła, nam Zbawiciela świata Maryja powiła". Otóż Rachela jest żoną Jakuba i matką Józefa. Tego Józefa, który sprzedany przez braci do Egiptu jako niewolnik, dochodzi do wielkiego znaczenia i ratuje braci w czasie głodu; tak organizuje zapasy, że ratuje zarówno Egipcjan, jak i ludzi, którzy przychodzą z okolicznych krajów. Między innymi spotyka także swoich braci – tych, którzy go sprzedali. To bardzo ciekawa historia – odsyłam do końcowej części Księgi Rodzaju. I w Godzinkach mamy porównanie: Rachela jest matką tego, który dał życie Egiptowi (to znaczy Egipcjanom oczywiście), a Maryja jest Matką Zbawiciela świata.

„Słońca tego promieniami Maryja jaśnieje, w poczęciu swym jak złota zorza światłem sieje". Chodzi o to, że Maryja rodzi się bez żadnej skazy, bez żadnej zmazy, bez żadnego wykrzywienia – to jest udzielona jej z góry łaska, którą zdobędzie dla niej Syn. Bo po to, żeby ten Syn mógł się urodzić w łonie kobiety, trzeba było już wcześniej, żeby ta kobieta była zupełnie wyjątkowa, niepokalana. Te Godzinki pisane są przecież na cześć Niepokalanej – jej Niepokalanego Poczęcia. Tutaj jest jeszcze: „między cierniem lilija kruszy łeb smokowi". Lilia między krzakami ciernistymi to odniesienie do Pieśni nad Pieśniami (zob. Pnp 2,2), a „kruszy łeb smokowi" to jest już nawiązanie do Apokalipsy świętego Jana. To jeszcze wyraźniej wybrzmi na początku hymnu na Kompletę: „Witaj, Matko szlachetna w panieńskiej czystości, gwiazdami uwieńczona, Pani łaskawości". Tutaj mamy nawiązanie do bardzo słynnego obrazu z Apokalipsy: *Potem wielki znak ukazał się na niebie: Niewiasta obleczona w słońce i księżyc pod jej stopami, a na*

jej głowie wieniec z gwiazd dwunastu (Ap 12,1). I tę niewiastę chce zniszczyć smok. *Oto wielki Smok barwy ognia, mający siedem głów i dziesięć rogów – a na głowach jego siedem diademów. I ogon jego zmiata trzecią część gwiazd nieba: i rzucił je na ziemię* (Ap 12,3-4a). Tylko należy pamiętać, że te obrazy, wizje w Apokalipsie, trzeba zawsze tłumaczyć symbolicznie. Ta niewiasta obleczona w słońce jest przede wszystkim Kościołem. Ale także Maryją. Maryją, która – w momencie śmierci swojego Syna aż do Jego zmartwychwstania co najmniej – była całym Kościołem. Dlatego, że Apostołowie, jeżeli nawet nie pouciekali, to nie umieli się odnaleźć, nie umieli nic z tego zrozumieć. Może ona też nie rozumiała... Ale wierzyła. Ona była tą, która zawsze wierzyła.

Teraz jeszcze jedna rzecz. „Po prawej ręce króla stoisz w złotogłowie". To jest nawiązanie do Psalmu 45. To jest psalm bardzo szczególny, bo to jedyny psalm, który ma charakter pieśni weselnej: *Cała pełna chwały wchodzi córa królewska; złotogłów jej odzieniem. W szacie wzorzystej wiodą ja do króla; za nią dziewice, jej druhny, wprowadzają do ciebie. Przywodzą je z radością i z uniesieniem, przyprowadzają do pałacu króla* (Ps 45,14-16). To jest po prostu moment zaślubin i pieśń na zaślubiny. Przypuszcza się, że napisano ją na zaślubiny Salomona z księżniczką egipską, choć jest raczej późniejsza. I jest to jedyna pieśń weselna w brewiarzu.

„Jak olej wylany, o Maryjo, imię Twoje". To jest olej wylany, a nie rozlany gdzieś. Wylany świadomie, umyślnie. To nie jest przypadek. Dla nas to jest zupełnie niezrozumiałe, bo u nas na oleju albo się smaży, albo się go ewentualne dodaje do sałatki. A tu chodzi o to, że każdy król był namaszczany olejem. Był pomazańcem. Pomazańcem jest Chrystus. Poza tym trzeba

pamiętać, że oni nie mieli takich porządnych mydeł jak my, i namaszczali się właśnie olejem. Skrapiali nim włosy. W jednym z psalmów jest mowa o głowie, z której ścieka olej. Dla nas to strasznie nieapetyczne, a dla tamtego świata to było bardzo piękne. Przypomnijmy sobie tę kobietę, która przychodzi do Jezusa i wylewa drogocenny olejek na Jego głowę (w innej Ewangelii jest – na Jego nogi).

Porównaniem niebiblijnym jest natomiast „Gwiazda morska". W czasach Jezusa komunikacja wodna była bardzo rozwinięta i mniej więcej trzy wieki przed Chrystusem pojawia się wielce sławna latarnia morska w Aleksandrii. Latarnie to są właśnie te gwiazdy morskie w ciemnościach nocy. I Maryja jest dla nas taką gwiazdą morską, czyli latarnią morską, i „Portem tonących" – bo dzięki niej, tej Gwieździe Morskiej, do portu trafiają ci, którym się wydaje, że już toną. Jest „bramą rajską", czyli tą, przez którą wchodzimy do nieba – do bycia z Bogiem po prostu. I właśnie my, słabi, znajdujemy w niej siłę. Oglądamy Boga na „górnym Syjonie". Syjon to oczywiście Jerozolima, ale tutaj ten Syjon jest po prostu symbolem nieba. Maryja jest też Rodzicielką Łaski, ponieważ jest Matką Chrystusa.

Słowo, którego nie znamy

W Godzinkach, w hymnie na nieszpory, jest takie słowo, którego nie napotkamy w encyklopediach. Ja sama miałam z tym kłopot. „Witaj, światło z Gabaon, coś zwycięstwo dało, z ciebie Słowo przedwieczne w ciało się przybrało". Otóż Matka Jezusa jest tutaj nazwana światłem z Gabaon. I chcielibyśmy wiedzieć, co to jest to

światło z Gabaon. Otóż Gabaon jest dlatego dla nas nieosiągalny, bo tu chodzi o Gibeon – czyli w biblijnej nazwie jest inna samogłoska. W dziesiątym rozdziale Księgi Jozuego Gabaoninci (Gibeonici), czyli mieszkańcy miasta Gabaon (Gibeon) zostają napadnięci przez pięciu królów. Ponieważ na mocy zawartego przymierza znajdują się oni pod opieką Jozuego, wypowiada on wojnę napastnikom, broniąc swych podopiecznych. I w Biblii mamy dwa opisy zwycięstwa, które odniósł: jeden jest pisany prozą, a drugi wierszem. I stąd wynika pewna różnica w wiadomościach, które tam znajdujemy.

Opowiadanie prozą jest takie: *A Pan napełnił ich strachem na sam widok Izraela i zadał im wielką klęskę pod Gibeonem. Ścigano ich w stronę wzgórza Bet-Choron i bito aż do Azeki i Makkedy. Gdy w czasie ucieczki przed Izraelem byli na zboczu pod Bet-Choron, Pan zrzucał na nich z nieba ogromne kamienie aż do Azeki, tak że wyginęli. I więcej ich zmarło wskutek kamieni gradowych, niż ich zginęło od miecza Izraelitów* (Joz 10,10-11). Również dla nas grad może być wielką klęską, ale w tamtym świecie grad jest czymś niesłychanie rzadkim – a gdy już pada, to pada wielki. To jest to opowiadanie prozą. Na ile ono jest wiarygodne, nie wiemy. Nie mamy możliwości sprawdzenia. Do tego opowiadania jest dodana pieśń (hymn) i trzeba pamiętać, że żadna pieśń ani hymn nigdy nie może być w pełni źródłem historycznym. Jeżeli nawet dotyczy wydarzenia historycznego, to jest to zawsze historia upiększona. I tu tak jest: *W dniu, w którym Pan podał Amorytów w moc Izraelitów, rzekł Jozue w obecności Izraelitów: „Stań słońce nad Gibeonem! I ty, księżycu, nad doliną Ajjalonu!". I zatrzymało się słońce, i stanął księżyc, aż pomścił się lud nad wrogami swymi. Czyż nie jest to napisane w Księdze Sprawiedliwego: „Zatrzymało się*

słońce na środku nieba i prawie cały dzień nie spieszyło do zachodu?” (Joz 10,12-13). To jest hymn, który wyolbrzymia zwycięstwo. Jeśli chodzi o słońce, to łatwo zrozumieć, o co chodziło. Słońce się nie zatrzymało, ale ono stało na niebie dopóty, dopóki było potrzebne. Tak długo, jak było potrzebne światło, by Izraelici mogli swych wrogów dokumentnie pokonać – to słońce było. Niekiedy czas nam się wydłuża. Może to się narodziło z tego – ja tu już fantazjuję – że ktoś powiedział: „mnie się zdawało, że to było tak długo, a to był tylko jeden dzień”. Mieli tak długo światło, jak długo im to było potrzebne do walki. „Witaj, światło z Gabaon, coś zwycięstwo dało, z ciebie Słowo przedwieczne w ciało się przybrało”. Tutaj tym światłem z Gabaon nazwano Maryję.

Można to odnieść do prologu świętego Jana – Słowo stało się ciałem. Ale może warto zwrócić uwagę również na to, że jeszcze przed narodzeniem Jezusa słowo nabiera wielkiego znaczenia. Wielu Żydów osiedla się bowiem w miastach pogańskich i nie mogą na każde święto przybywać do Jerozolimy, bo to za daleko. Nie mogą więc złożyć ofiary, dlatego że ofiary (przynajmniej od końca VII wieku) Żydzi mogli składać tylko w Jerozolimie, w Świątyni. Ten sam problem będzie po zburzeniu Jerozolimy przez Rzymian. Ale jeszcze przed zburzeniem Jerozolimy zacznie się rodzić kult zupełnie specyficzny – kult słowa. Nam się to wydaje zupełnie oczywiste, ale w tamtym świecie to było coś zupełnie zadziwiającego: kult, który się skupia na Biblii. Na czytaniu Biblii, na różnych częściach Biblii, na modleniu się Psalmami, śpiewaniu Psalmów. Dlatego to słowo staje się takie ważne.

I tutaj chciałam tylko powiedzieć jedno. Że nam jest trudno zrozumieć nawiązania do Pisma Świętego – na przykład w tekstach modlitw – bo my w ogóle nie jesteśmy zżyci w żaden sposób z Pismem Świętym. A autor (czy autorzy) Godzinek byli z nim niesłychanie zżyci. I to jest niewątpliwe. Zarówno ci, którzy układali ten tekst (pierwszy tekst łaciński), jak i ci, którzy go potem tłumaczyli na polski. Dla nas Biblia jest jeszcze ciągle księgą obcą, bo jest pewna zasada, o której nie wiemy. Ktoś mógłby powiedzieć, no dobrze, pani jest profesorem, pani to, pani tamto, a gdzie my mamy znaleźć czas na jakieś studium biblijne? Tak, wielu z Państwa nie ma na to czasu. Ale wystarczy jedno. Jedno jest zasadnicze w czytaniu Biblii. To, czego nam najbardziej brakuje to nie jest brak książek, brak komentarzy. Znajdziemy te komentarze sami – one będą wypływały z Pisma. Jest taka zasada, zasada naukowa, że Biblia objaśnia Biblię. I to jest najważniejsze. Jeżeliby nawet ktoś studiował długo mądre, uczone księgi, a nie czytałby Biblii, to i tak by nic z tego nie wiedział. I tutaj bym namawiała do takiego postanowienia: „codziennie poświęcę pięć minut w ciągu dnia na czytanie Biblii". Na razie pięć minut. Później może być więcej. Tym z Państwa, którzy nie znają Biblii, albo bardzo mało znają, radzę, żeby zaczynali od Nowego Testamentu, od Ewangelii, bo to najlepiej znamy. Tylko czytajmy uważnie. Bo miałam kiedyś taką historię, że pewnej dziewczynie, bardzo zresztą miłej, która przychodziła do mnie na „dokształcanie religijne", poleciłam przeczytać Ewangelię świętego Marka i zanotować to, czego nie zrozumie. Była bardzo sumienna, więc przeczytała. Przeczytała i powiedziała mi, że wszystko rozumie. Więc ja otworzyłam Ewangelię – tak jak samo mi się otworzyło – i pytam ją: „Co to

znaczy?”. „Ja nie wiem…”. O to chodzi. Że nam się zdaje, że my rozumiemy Ewangelię. My to słyszymy, nawet znamy (mówię w tej chwili do ludzi, którzy chodzą do kościoła), ale zupełnie nie zastanawiamy się nad tym. Dlatego poleciłabym jeszcze jedno. Jeżeli już się zdecydujemy na te pięć minut, to warto pozostać temu wiernym. I jeszcze jedna rzecz: żebyśmy, zaczynając to czytanie, prosili Ducha Świętego o pomoc!